

Z nowego  
świata

# Spis treści

<b>Rozdział 1</b> .....	<b>4</b>
<b>Rozdział 2</b> .....	<b>27</b>
<b>Rozdział 3</b> .....	<b>52</b>

Autor przekładu z nieoficjalnego tłumaczenia angielskiego na język polski: Jovex  
Korekta: Eqeminiv

Wszelkie prawa autorskie do powieści 新世界より (Z Nowego Świata) należą do Yusuke Kishi.

Ten dokument jest fanowskim tłumaczeniem, nieautoryzowanym przez posiadacza praw autorskich.

Autor tłumaczenia nie rości sobie jakichkolwiek praw do treści powieści.

Autor przekładu nie wyraża zgody na umieszczanie tego tłumaczenia na stronach innych niż [znowegoswiatapl.wordpress.com](http://znowegoswiatapl.wordpress.com), [helheim.pl](http://helheim.pl) oraz [centrum-mangi.pl](http://centrum-mangi.pl)

W razie pojawienia się tłumaczenia oficjalnego dokument ten zostanie natychmiastowo usunięty z Sieci.

## **Część III: Głęboka jesień**

## Rozdział 1

Spędziliśmy bezsenłą noc na kamienistym brzegu rzeki. Pomimo tego, jak bardzo byliśmy zmęczeni, w naszych umysłach na dobre zagościł uporczywy niepokój, który nie pozwolił nam zasnąć. Jakoś udało nam się jednak zdrzemnąć na tyle, by odzyskać choć trochę energii.

Następnego dnia wyruszyliśmy w dalszą drogę, gdy tylko wstało słońce. Kiedy płynęliśmy w dół rzeki uświadomiliśmy sobie, że nasz obóz znajdował się tak blisko granicy Kamisu 66, że właściwie niepotrzebnie zatrzymywaliśmy się tej nocy. Biorąc pod uwagę nasze wczorajsze zmęczenie, odpoczynek mógł być mimo wszystko dobrym pomysłem.

W promieniach porannego słońca rzeka Tone mieniła się złocistymi barwami, jakby świętując nasz powrót. Co stało się z czarnymi wodami Hadesu, z którymi zmagaliśmy się jeszcze kilka godzin wcześniej?

Przestaliśmy wiosłować i pozwoliliśmy by popychał nas nurt.

Krajobraz stawał się coraz bardziej znajomy. Pomimo, że bardzo pragnęłam powrócić do domu, im bardziej zbliżaliśmy się do wiosek, tym większy czułam niepokój. Byłam przekonana, że dorośli wyślą nam na powitanie kilka łodzi, ale nie spotkaliśmy nikogo nawet mijając Świątynię Ikisu. Taki obrót spraw sprawił, że znacznie się odprężyliśmy. Wydaje mi się jednak, że powinniśmy byli bardziej się zaniepokoić. Właściwie to fakt, że tak wczesnym porankiem nie dojrzeliliśmy nawet jednej łodzi był bardzo dziwny. Kiedy dotarliśmy do tych samych doków w Zbożowym Kręgu, z których wyruszyliśmy przed czterema dniami, ktoś wreszcie wyszedł nam na spotkanie.

– Wcześniej wróciliście.

To był Słoneczny Księżcunio, znany też jako pan Endou. Jego bujna broda zakrywała mu twarz tak, że nie sposób było stwierdzić czy się uśmiecha, bo udało nam się bezpiecznie wrócić, czy też może gniewa się na nas za naruszenie zasad. Przerwanie tygodniowego

normalnie obozu nie było właściwie niczym nadzwyczajnym. Głównym problemem był powód dla którego tak się stało.

– Przepraszamy. Wydarzyło się kilka niewiarygodnych rzeczy – wydusił Shun.

Pozostali z nas prawie się rozplakali.

– No dobrze, dobrze. Porozmawiamy o tym później, w porządku? Na razie zacumujcie łodzie.

Zeszliśmy na ląd, powstrzymując się od łez. Liny, którymi był przywiązany nasz ekwipunek same się rozwiązały, a nasze bagaże podryfowały w powietrzu i ułożyły się w schludny rząd w pobliżu pomostu.

– Och, sami to zrobimy – powiedział Satoru.

– Nie, w porządku – pokiwał głową Słoneczny Księżunio. – Wszyscy jesteście wyczerpani, prawda? W każdym razie powinniście udać się teraz do ośrodka dla dzieci. Niedługo podadzą śniadanie.

Zastanowiło mnie trochę, dlaczego mieliśmy tam iść. Ośrodek dla dzieci znajdował się kilka kroków od doku; w środku znajdowały się zarówno miejsca do dziennego wypoczynku, jak i pokoje, w których można było zostać na noc, jednak od czasu ukończenia Szkoły Harmonii żadne z nas nie postawiło stopy w tamtym miejscu.

– Proszę pana, naprawdę bardzo chcielibyśmy iść do domów... – powiedział Shun w imieniu nas wszystkich.

– Och, tak, rozumiem. Wcześniej musimy jednak zapytać was o parę rzeczy.

– Naprawdę nie możemy troszkę odpocząć w domu? – spytała błagalnie Maria.

Marzyłam o tym, żeby wziąć kąpiel, ale Słoneczny Księżunio był niewzruszony.

– Posłuchajcie mnie, dobrze? Nie zapominajcie, że poważnie naruszyliście kilka zasad. Wiem, że jesteście wyczerpani, ale najpierw musimy zająć się ważniejszymi kwestiami.

Jego uśmiech był uprzejmy jak zawsze, lecz czubek nosa miał usiany kropelkami potu.

– Rozumiemy.

Ruszyliśmy w stronę ośrodka dla dzieci.

– Saki, co o tym sądzisz? – wyszeptał mi do ucha Satoru.

– O czym?

– Twarz Słonecznego Księżcunia była jakaś nienaturalnie skamieniała. A poza tym, nie wydaje ci się dziwne, że zmusza nas, abyśmy udali się do ośrodka dla dzieci?

– Tak, ale cała ta sytuacja od początku jest nietypowa...

Byłam tak zdrętwiała ze zmęczenia, że wydawało mi się, że straciłam władzę nad swoim ciałem. Satoru denerwował mnie, zadając tak oczywiste pytania. Tak, to było dziwne. Czego on właściwie ode mnie oczekiwał?

Shun otworzył przeszklone drzwi używając cantusu, za co byłam mu niezwykle wdzięczna. Bez wątpienia był równie wyczerpany jak pozostali i wolałby otworzyć drzwi ręcznie zamiast marnować dodatkową energię na skupienie się i użycie mocy, lecz chciał pokazać Słonecznemu Księżcuniowi i komukolwiek innemu, kto mógł nas obserwować, że nie straciliśmy cantusu.

Tak jak powiedział pan Endou, przygotowano dla nas śniadanie. Dostaliśmy garnuszki z ciepłym ryżem, solonego łososa, zupę miso z mięsem kraba tygrysięgo, surowe jaja, wodorosty, sałatę i peklowane krasnorosty. Podano nam nawet deser, na który składała się galaretka na brązowym cukrze.

Nagle poczułam się straszliwie głodna. Napelniliśmy miski i zaczęliśmy pochłaniać jedzenie. Na kilka chwil zapadła cisza.

– Na razie jakoś nam się udało... – powiedział szczerze Mamoru.

– Udało? Nie mamy pojęcia co się teraz stanie – odparł ponuro Satoru.

– Ale niezależnie od tego, zdołaliśmy wrócić – zauważyła Maria, kładąc dłoń na ramieniu Mamoru.

– Tak. Możliwe, że wyobrażaliśmy sobie zbyt czarne scenariusze – zgodziłam się z nią.

– Co masz na myśli? – spytała Maria.

– No cóż, nic się nam nie stało, nawet po tym jak dowiedzieliśmy się tych wszystkich strasznych rzeczy od fałszywego minoshiro...

– Ćśś! – uciszył mnie Shun.. – Ktoś może nas podsłuchiwać.

– Och, wybacz – odparłam, zamykając usta. Z jakiegoś powodu czułam się pobudzona i rozmowna.

– Poczekajcie. Możliwe, że... Że w tym... – Shun spojrzał wyjątkowo podejrzliwie na swój na wpół dokończony posiłek. Bez słów zrozumiałam, co miał na myśli. *Czy to możliwe, że dosypano nam czegoś do jedzenia? Jakiegoś środka, który miał sprawić, że się zrelaksujemy i ujawnimy wszystko, co chcieliśmy zachować w sekrecie?*

Satoru wskazał zdecydowanie na półmisek z galaretką. Podczas, gdy pozostali kończyli jeszcze główne danie, ja nie mogłam się już powstrzymać przed sięgnięciem po deser. Wyczułam w nim lekką woń alkoholu, lecz poza nim w środku mogły znajdować się też inne substancje.

– Hę?

Podczas, gdy skupiliśmy całą uwagę na misce galaretki, Mamoru wyrzwał przez okno i wydał z siebie dziwny okrzyk.

– Co się stało?

Ignorując pytanie Marii przybliżył się do okna. W tej samej chwili ujrzałam jak przemyka za nim duży cień. Mamoru przycisnął twarz do szyby i wyrzwał na zewnątrz, po czym odwrócił się w naszą stronę. Nigdy wcześniej nie widziałam, by na jego twarzy malował się tak ogromny strach. Ten widok zmroził mi krew w żyłach.

Zegar zabił osiem razy. Uświadomiłam sobie coś dziwnego. Pomimo tego, że była już ósma rano, nie słyszałam bawiących się w pobliżu dzieci, nieważne jak bardzo wytężałam słuch. Byliśmy jedynymi osobami w ośrodku.

Nadal panowała grobowa cisza. Mamoru wciąż nie chciał nam powiedzieć co zobaczył.

– Dziękuję, że poczekaliście. – Słoneczny Księżciunio wszedł do pokoju wraz z parą ludzi w średnim wieku, których znałam z widzenia, lecz z którymi nigdy nie rozmawiałam. Byłam przekonana, że oni również są z Rady Edukacji.

– Widzę, że skończyliście już jeść. Jeśli jesteście zmęczeni, możemy jeszcze trochę odpocząć – dodała kobieta, uśmiechając się. Ten wymuszony grymas jeszcze bardziej uwydatnił koński wygląd jej twarzy.

– Będziemy teraz rozmawiać po kolei z każdym z was. Kto chce iść pierwszy?

Nikt się nie odezwał.

– No dalej, co się dzieje? Grupa pierwsza zawsze jest przecież najbardziej asertywna. Czy to nie wy zawsze wyrywacie się do odpowiedzi podczas lekcji? – spytał Słoneczny Księżciunio swoim typowym, wesołym głosem. W jego oczach nie było jednak radości.

Ostatecznie byliśmy przepytywani według kolejności alfabetycznej. Shun Aonuma, Maria Akizuki, Satoru Asahina, Mamoru Itou i ja, Saki Watanabe.

Do tamtego dnia nigdy nie zauważałam znajdujących się na tyłach ośrodka dla dzieci kilku niewielkich pokoików, w których leżały po dwie maty tatami. Wchodziliśmy do środka pojedynczo, w towarzystwie dwóch przesłuchujących.

Często myślałam o tym, co miało wtedy miejsce, ale, ku mojemu ogromnemu zdziwieniu, nie potrafię przypomnieć dosłownie niczego z tamtej rozmowy. Starożytne książki psychologiczne nazywają takie zjawisko amnezją wysepkową. Satoru również nic nie pamięta. Wszystkim, co pozostało w moich wspomnieniach jest wyjątkowo gorzka herbata, którą zaproponowano mi do picia. Czymkolwiek ona była, w połączeniu z nieznaną substancją z galaretki sprawiła, że tamta rozmowa była raczej wspomaganym narkotykami przesłuchaniem.

Tak czy inaczej, kiedy „rozmowy” dobiegły końca, pozwolono nam wrócić do domów. Trzymając się planu Shuna, Mamoru, Maria



i ja mieliśmy zasymulować chorobę i wykorzystać to jako wymówkę, by udać się od razu do swoich pokojów. Udawanie, że źle się czujemy okazało się jednak zbędne, gdyż cała nasza trójka jeszcze tego samego dnia i tak dostała wysokiej gorączki, która przykuła nas do łóżek.

Mój stan polepszył się po dniu lub dwóch, lecz rodzice zmusili mnie, bym dalej odpoczywała, więc cały tydzień spędziłam snując się w piżamie po domu. Ponieważ nie mogłam skontaktować się z pozostałą dwójką, wydobyłam ukryty pod parkietem breloczek, na którym zapisałam swoją mantrę.

Kiedy odczytałam jej treść i zdołałam przywrócić swój cantus, poczułam silne uczucie zwycięstwa. W końcu udało mi się jakoś wywieść dorosłych w pole i odzyskać boską moc.

Nie miałam wtedy pojęcia, jak bardzo się myliłam.

Dla czterdziestolatków upływ dwóch lat może nie być niczym znaczącym. Ich włosy mogą najwyżej trochę posiwieć, ciała zeszywnieć i stać się bardziej ociężałe, a oddechy – spłyć się. To właśnie dzieje się z większością ludzi podczas dwóch lat.

W przypadku dwunastoletnich dzieci, niezależnie od epoki w której przyszło im żyć, taki okres jest jednak wystarczający aby zaszły ogromne zmiany.

Przybrałam przez ten czas na wadze o sześć kilogramów i urosłam o pięć centymetrów. U chłopców, którym doszło odpowiednio dziesięć kilogramów i trzynaście centymetrów, różnice były jeszcze wyraźniejsze. Były to jednak tylko powierzchowne zmiany. Ukończenie czternastego roku życia oznaczało dla mnie coś więcej; przemiany dokonały się również w naszych wnętrzach.

Stopniowo przyzwyczaiłam się do widoku Satoru i Shuna. Nie było w tym nic złego, jednak okazało się to dla mnie niespodzianką. Od kiedy tylko sięgam pamięcią, obydwójce byli moi dobrymi przyjaciółmi, ale również rywalami. W pewnym momencie stali się jednak dla siebie kimś więcej. I była to zupełnie naturalna zmiana.

Kiedy w końcu sobie to uświadomiłam, zostałam daleko w tyle, bezskutecznie ścigając ich oddalające się sylwetki. To był dziwny widok, połączony z niewytłumaczalnym uczuciem.

Nie. Dokładnie wiem, czym ono było. Zazdrością.

Od samego początku Shun był dla mnie kimś wyjątkowym. Od tamtego dnia, kiedy wiatr rozwiewał jego włosy podczas zachodu słońca nad łąkami, nie potrafiłam spuścić z niego wzroku. Jego czysty głos i błyszczące oczy nigdy nie przestały wprawiać mnie w zachwyt. Moje przekonanie, że zawsze będziemy razem nigdy nie zostało zmałowane przez najmniejszy cień wątpliwości.

Z drugiej strony, Satoru był tak zwyczajny jak to tylko możliwe. Doceniałam jego spryt, lecz w porównaniu z Shunem, który był tak uzdolniony, że jego talent tworzył wręcz namacalną aurę, Satoru nie był nikim nadzwyczajnym. Mimo tego, od chwili gdy razem przetrwaliliśmy atak Ziemnych Pająków, zmienił się mój stosunek do niego. Zawsze był przyjacielski i dodawał mi otuchy, kiedy tego potrzebowałam.

Dlatego też moja zazdrość była tak skomplikowana. Widząc ich razem, odnosiłam wrażenie, że zostałam porzucona.

Relacje Shuna i Satoru były chyba rzeczą, która w ciągu owych dwóch lat uległa najbardziej drastycznym zmianom. Pomimo, że zawsze byli w poprawnych stosunkach, Satoru zawsze postrzegał Shuna jako pewnego rodzaju rywala i jego zachowanie bywało dość niezręczne. W ciągu tych minionych dwóch lat uczucie, którym go darzył zupełnie się zmieniło. Poprzednio z reguły odwracał się, widząc radosny uśmiech Shuna; teraz jednak znacznie częściej sam odpowiadał uśmiechem, wpatrując się głęboko w jego oczy.

Zawsze byłam świadoma tego, że kocham Shuna. Kiedy Satoru ścisnął Shuna potrafiłam wyczuć, że również on darzy go romantycznym uczuciem.

Z drugiej strony, nie umiałam stwierdzić co Shun czuje do Satoru. Przystojny i inteligentny, przyzwyczał się już do tego, że ludzie go podziwiają. Dlatego też, w stosunku do swoich adoratorów

był dość obojętny, lub, dosadniej mówiąc – pobłażliwy. Kiedy jednak patrzyłam na ich dwoje, nie wyglądało na to, że to tylko Satoru wzdycha ślepo do Shuna. Posunęłabym się nawet do stwierdzenia, że choć to Satoru był aktywniejszą stroną, Shun najwyraźniej akceptował jego uczucia.

Ostateczne potwierdzenie uzyskałam kiedy idąc któregoś dnia przez pole zobaczyłam pewną scenę. Nagle zauważyłam Shuna i Satoru idących razem jak para kochanków; trzymali się za ręce i nie widzieli świata poza sobą. Obróciłam się na pięcie, chcąc się oddalić. Ciekawość wzięła jednak nade mną górę i zaczęłam śledzić ich z dużej odległości. Dobrze wiedziałam, że widok przeżywającej intymne chwile pary mnie zrani; nie byłam jednak w stanie się powstrzymać.

Kiedy oddalili się od wioski na tyle, by żaden z mieszkańców nie mógł ich dostrzec, zaczęli baraszkować jak dwójka małych szczeniąt. Mówiąc ściślej, to Satoru skakał wkoło Shuna, przytulając go od tyłu. Nagle pożałowałam gorąco, że nie urodziłam się chłopcem. Gdyby tak się stało, Shun z pewnością wybrałby mnie zamiast Satoru.

Podejście Komisji Etyki i Rady Edukacji do związków pomiędzy nastoletnimi chłopcami i dziewczętami jest bardzo rygorystyczne. Młodzieży w naszym wieku pozwala się jedynie na utrzymywanie typowo platonicznych relacji z płcią przeciwną. Nawet najbardziej intymne akty między osobami tej samej płci są jednak traktowane bardzo życzliwie. Dlatego też wszyscy, z nielicznymi wyjątkami, wchodzą w związki homoseksualne.

Chłopcy wspięli się na szczyt wzgórza, położyli się na trawie, wśród białawych koniczyn i zaczęli rozmawiać. Ukryłam się w kępie rosnących jakieś trzydzieści metrów dalej krzaków i przyglądałam się im, nie ośmielając się nawet głośniej odetchnąć.

Wyglądało na to, że Satoru opowiedział jakiś dowcip, ponieważ Shun odgiął głowę i zaczął się śmiać, pokazując perłowobiałe zęby.

Satoru przez moment wpatrywał się w Shuna, po czym bez ostrzeżenia rzucił się mu na szyję. Przez kilka chwil tkwili w bezruchu.

Nie widziałam ich dokładnie z mojej kryjówki, lecz nie miałam wątpliwości, że się całują. Satoru mocno ścisnął Shuna, który z początku spokojnie leżał, lecz w końcu odwzajemnił uścisk i zaczął pieścić ciało Satoru, próbując przewrócić go na plecy tak, żeby to on znalazł się na dole. Satoru stawiał opór. Siłowali się ze sobą, ale to Satoru miał przewagę. Shun ostatecznie poddał się i przewrócił na plecy; wyraz jego twarzy przywołał na myśl dziewczynę, która zaakceptowała już czekający ją los.

Widząc to, Satoru zupełnie stracił panowanie nad sobą. Przyspilił Shuna do ziemi i zaczął obsypywać jego usta, policzki i szyję gorącymi pocałunkami.

Samo to wystarczyło, bym się zarumieniła i zaczęła bezwiednie wodzić dłońmi po ciele. Nie wiedziałam, czy sprawiła to niezwykle namiętność z jaką Satoru pieścił Shuna czy też po prostu niezwykle pragnienie znalezienia się na jego miejscu. Niezależnie od przyczyny, czułam że serce nieznośnie płonie mi w piersi.

Satoru wodził czule palcami po wargach Shuna. Nie spotykając się z odmową i prawdopodobnie dając się ponieść uczuciom, wsunął mu jeden z nich w usta. Shun przyjął ten zmysłowy gest z szerokim uśmiechem i zaczął ssać palec Satoru, od czasu do czasu trącąc go zębami.

Dając ponieść się chwili, przysunęłam się do nich trochę za blisko. Kiedy Shun podniósł głowę, udając, że chce ugryźć Satoru w dłoń, wyczułam przez sekundę jego skierowany na mnie wzrok. Błyskawicznie wycofałam się w zacienione zarośla, lecz prawdopodobnie zostałam dostrzeżona. Myślałam, że zapadnę się pod ziemię ze wstydu. Chciałam pozostać przez pewien czas w ukryciu, lecz postanowiłam jeszcze raz wyjrzeć z krzaków i sprawdzić, jak rozwija się sytuacja.

Satoru leżał na górze, próbując z całych sił ściągnąć Shunowi spodnie. Kiedy udało mu się odsłonić idealne, niczym wyrzeźbione ze śnieżnobiałego marmuru uda partnera, na twarzy zagościł mu zachwyt i oczarowanie. Następnie zaczął delikatnie pocierać penisa Shuna, trzymając go w dłoniach jak małe stworzonko. Shun zaśmiał się i zaczął się wić, jakby miał łaskotki, lecz nie protestował.

Pomyślałam, że tylko zdawało mi się, że zauważył moją obecność. Nie wstając, odwróciłam się i odczołgałam w przeciwnym kierunku.

Już wcześniej zdarzyło mi się przypadkowo przyłapać parę kochających się chłopców z grupy trzeciej. Wtedy obserwowałam ich z czystej ciekawości. Oczywistym było, że tamta dwójka ma taką obsesję na punkcie seksu, że nie obchodzi ich nic więcej. Leżeli obok siebie, skierowani głowami w przeciwną stronę. Każdy trzymał w ustach przyrodzenie partnera, od czasu do czasu wpychając je sobie do gardła tak głęboko, że nawet mi, od samego patrzenia, zbierało się na mdłości. Dla nich najwyraźniej to nadal było zbyt mało. Co oczywiste, jako dwójka chłopców nie mogli odbyć właściwego stosunku, jednak nie przeszkadzało im to w próbach zrobienia tego w alternatywny sposób. Widok gwałtownych, posuwistych ruchów ich penisów przypominał mi spółkowanie minoshiro.

Nie miałam najmniejszej ochoty oglądać równie głupiego aktu w wykonaniu Shuna i Satoru.

Oddaliłam się z tamtego miejsca. Czułam się przygnębiona. Niczego nie pragnęłam tak bardzo jak tego, by ktoś mnie pocieszył. Na myśl przyszła mi tylko jedna osoba.

Gdy wróciłam do wioski, od razu zaczęłam szukać Marii. W końcu znalazłam ją siedzącą na tylnym ganku jej domu. Na szczęście wyglądało na to, że pozostali członkowie jej rodziny gdzieś wyszli, jednak ktoś nadal był piątym kołem u wozu. Mamoru.

– Co się dzieje, Saki? – spytała wesołym, czystym głosem.

Przez ostatnie dwa lata Maria wyrosła na młodą kobietę o pięknych, wygiętych rzęsach, błyszczących oczach, idealnie

prostym nosie i wydatnych ustach. Stała się bardziej zdecydowana i pewna siebie. Jediną rzeczą, która w ogóle się nie zmieniła, były jej płomiennorude włosy.

– Jakoś nagle zapragnęłam z tobą porozmawiać – odpowiedziałam, uśmiechając się do niej i rzucając jednocześnie Mamoru lodowate spojrzenie.

Mamoru uniknął mojego wzroku i szybko się odsunął.

Maria siedziała na werandzie, machając w powietrzu stopami. Mamoru przysiadł kawałek dalej, skupiając się na rysowaniu jej portretu. Nie używał ołówka i papieru tak jak robiliśmy to w Szkole Harmonii. Zamiast tego używał cantusu do malowania sproszkowanymi minerałami, takimi jak granat, kordieryt, fluoryt, beryl czy kolumbit na drewnianej płycie pokrytej cienką warstwą białej glinki.

Portret nie tylko był graficznym przedstawieniem Marii; Mamoru w jakiś sposób udało się uchwycić na nim jej ducha. Nawet ja musiałam przyznać, że ma niesamowity talent.

Kiedy Mamoru był mały, jego matka zmarła na dur brzuszny. Ponieważ Maria miała takie same jak ona, rzadkie w naszej społeczności rude włosy, zdawał się traktować ją jak swego rodzaju surogatkę. Satoru twierdzi, że rudy kolor włosów nigdy nie był cechą typową dla Azjatów, więc Maria i matka Mamoru musiały mieć prawdopodobnie wspólnych przodków, którzy wiele lat temu przybyli z odległego kraju.

Z tego co pamiętam, Mamoru bardzo przywiązał się do Marii od kiedy tylko zaczęliśmy naukę w Akademii Mędrców, jednak nawet wtedy, podczas okresu dojrzewania, nie wykazywał najmniejszego zainteresowania własną płcią, niezależnie od tego, ilu przystojnych chłopców zabiegało o jego względy. Mieszkał w Dębowym Gaju, wiosce wysuniętej najbardziej na zachód, podczas gdy Maria żyła w pobliżu wschodniego wybrzeża, w Białym Piasku. Mimo tego, każdego ranka wsiadał do łódki by odwiedzić Marię w jej domu. Pomimo, że jego oddanie było poruszające, relacje z osobami

przeciwnej płci pozostawały ścisłym tabu; Mamoru musiał więc wykorzystywać malowanie swoich obrazów jako wymówkę.

Zawsze trzymał się blisko Marii i nie zwracał uwagi na nikogo poza nią. Maria wydawała się poruszona jego przywiązaniem a więź między nimi stopniowo się zacieśniała. Tak naprawdę jednak stosunki między tą dwójką bardziej przypominały relacje między panem i jego wiernym psem.

Ponieważ to ja byłam powszechnie uznawana za partnerkę Marii, życie Mamoru czasami wydawało się dość przygnębiające.

– Hej, przejdźmy się trochę – powiedziałam, dając do zrozumienia, że chcę zostać z nią sam na sam.

– Jasne, chodźmy – uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– No dobrze, nie będzie nas przez pewien czas... Mamoru, powinieś zrobić sobie przerwę.

Mamoru nie wyglądał na zachwyconego perspektywą mojego odejścia wraz z Marią.

– Dziękuję ci, jest piękny. Cudowny! – powiedziała Maria, szybko rzucając okiem na rysunek.

Twarz Mamoru przez chwilę rozpromieniła się z radości. W mojej obecności zawsze milczał jak grób. Możliwe, że wstydził się okazywać swoje przywiązanie do Marii przed innymi dziewczętami. Ponieważ był tak małomówny, wyrobiłam sobie paskudny nawyk całkowitego ignorowania jego towarzystwa, kiedy przebywałam z Marią.

Udałyśmy się do niewielkiej łódki zakotwiczonej na rzece. To była jedna ze wspólnych, wioskowych łodzi, z których korzystać mógł każdy, pod warunkiem odstawienia ich do oznaczonych doków po zakończonej podróży. Na jej burcie namalowano niebieskiego delfina.

Odepchnęłam łódkę, wykorzystując cantus. Kiedy sunęłyśmy po wodzie, Maria rozpuściła włosy, pozwalając im swobodnie powiewać na wietrze. Objęła moją szyję ramionami.

– Co się dzieje? – wyszeptała mi do ucha.

Jej delikatny głos niemal doprowadził mnie do łez.

– Nic takiego, naprawdę. Po prostu chciałam się z tobą zobaczyć.

Doskonale wiedziała, że kłamię, ale nie naciskała na mnie dalej. Gładziła mnie rękoma po włosach, sprawiając, że zapomniałam o wszystkich smutkach.

Zmierzałyśmy w kierunku niewielkiego klifu rozciągającego się nad piaszczystymi wydmami Hasamaki, który był otoczony gęstymi zaroślami i zapewniał całkowitą prywatność. Jeszcze w Szkole Harmonii często spędzałyśmy tam popołudnia, jeśli dopisywała pogoda. Pamiętam, że to ja wyszłam wtedy z inicjatywą, abyśmy pozbyły się ubrań, lecz to Maria pierwsza zebrała się na odwagę i pocałowała mnie kiedy leżałyśmy nago obok siebie.

Kiedy już zacumowałyśmy łódź i zaczęliśmy biec przez piaski, zaczęłam martwić się, że ktoś mógł odkryć naszą kryjówkę, jako że od dłuższego czasu jej nie odwiedzałyśmy. Na szczęście jednak wydawało się, że nie stanęła tam niczyja noga.

Pomimo tego, że byłam całkowicie pewna, że jesteśmy kompletnie zasłonięte przez krzaki, i tak sprawdziłyśmy najbliższą okolicę zanim zrzuciłyśmy z siebie ubrania. Na początku byłam trochę zawstydzona, ale kiedy zaczęłyśmy się śmiać, rozbierając się nawzajem, poczułam się, jakbym powróciła do niewinnych dni mojego dzieciństwa.

Do lata było jeszcze dość daleko, więc w powietrzu czuć było lekki chłód. Potarłyśmy się po pokrytych gęsią skórą ramionach.

– Twoje piersi ostatnio trochę urosły, Saki – zauważyła Maria, obejmując mnie od tyłu w pasie.

– To łaskocze... – odparłam, odsuwając się.

Maria nie dała za wygraną; wodziła dłońmi po całym moim ciele. W końcu udało jej się rozpiąć mój stanik.

– Uch, przestań już. – Napięcie było nie do zniesienia. Skuliłam się przy ziemi, obejmując kolana rękoma.

– O czym ty mówisz? Przecież to tego właśnie chciałaś, nie myłę się? Właśnie dlatego do mnie przyszłaś, prawda?



Zaśmiałam się i skinęłam głową. Moje ciało wygięło się pod wpływem nieustępliwych ataków jej dłoni. Balansowałyśmy na cienkiej granicy między szczęściem i cierpieniem; między namiętными pieszczotami i torturami.

– No cóż. Ponieważ nie widziałam cię już dość długo, muszę dokładnie obejrzeć twoje ciało. Co się zmieniło od ostatniego razu? Jesteś już w pełni dojrzała?

– Wystarczy! Nie musisz przecież...!

Nie zważając na moje słowa, Maria wodziła delikatnymi, zręcznymi palcami po całym moim ciele. Miałam wrażenie, że dotyka mnie jednocześnie tysiąc rąk.

– Hmm... Jakież przepiękne ciało. Takie miękkie, i nigdzie ani grama zbędnego tłuszczu.

– U-uch. Skończyłaś już? Teraz kolej na ciebie.

– Mmm... Później pozwolę ci na mnie patrzeć tak długo jak tylko zechcesz. Wciąż jednak nie oceniłam twojej wrażliwości.

Jej pieszczoty trwały jeszcze dobre pół godziny. Śmiejąc się do utraty tchu, błagałam ją, żeby przestała.

– Niesamowite. Wszystkie te igraszki sprawiają ci ogromną przyjemność, prawda? Całe twoje ciało reaguje na tę rozkosz.

Nie byłam w stanie nawet się odezwać, żeby zaprzeczyć. Wpatrywałam się w nią jedynie oskarżycielsko przez zamglone oczy.

– Och, jak słodko. – Maria uśmiechała się do mnie; jej twarz od mojej twarzy dzieliła odległość nie większa niż grubość włosa.

Powoli przycisnęła usta do mych ust. Ach, jakże opisać ich miękkość? Całowałam się już wcześniej z wieloma chłopcami i dziewczętami, jednak jeszcze nigdy nie doświadczyłam takiego uczucia. Wargi wielu ludzi napinają się kiedy są zdenerwowani lub kiedy próbują świadomie kontrolować ich ruch; w przypadku Marii było jednak inaczej. Jej usta były delikatne jak słodkie pianki obejmujące nieśpiesznie moje własne wargi. Samo to wystarczyło, bym rozplynęła się z rozkoszy, jednak po chwili rozchyliła moje usta i wślizgnęła swój język do ich wnętrza. To przeszywające uczucie

zawsze sprawiało, że dostawałam gęziej skórki. Maria drążyła językiem wewnątrz moich ust, muskając nim tylne powierzchnie moich zębów, wewnętrzne ścianki moich policzków i wreszcie – mój własny język. Nasze zmysły stopiły się w jedność; dotyk z dotykiem, smak ze smakiem.

Całkowicie się jej poddałam; jedynym, co pragnęłam zapamiętać był dotyk jej języka. Każdy gest Marii był odzwierciedleniem jej własnych żądz; z pewnością oczekiwała, że niedługo jej się odwzajemnię.

Leżeliśmy splecione ze sobą; kolana dotykały kolan, sztywne sutki ocierały się o siebie.

Maria przesunęła dłoń na moje podbrzusze, delikatnie gładząc miękkie włoski, po czym ześlizgnęła się jeszcze niżej. Byłam trochę zawstydzona, bo wiedziałam, że wyczuje, jak bardzo jestem mokra. Spróbowałam się odsunąć, jednak, co oczywiste, mój wysiłek spełził na niczym.

– Och, co cię tak podnieciło? – spytała Maria niewinnym tonem, zupełnie jakby naprawdę nie miała pojęcia, że to wyłącznie jej sprawka.

– U...uun – próbowałam zaprotestować, lecz nie byłam w stanie wydobyć z siebie żadnego słowa.

Nie czekając na odpowiedź, dotknęła palcem tamtego miejsca; najwrażliwszego punktu każdej kobiety – malutkiej, nie większej od perły wypukłości. Pieściła ją delikatnymi, okrężnymi ruchami, sprawiając że wszystkie moje myśli odpłynęły. Miałam wrażenie, że całe moje ciało się rozplywa.

Czas upływał powoli, ciągnąc się jak miód. Zapomniałyśmy z Marią o otaczającym nas świecie, całkowicie pochłonięte przez nieujarzmioną namiętność. Następnie to ja przejęłam inicjatywę, sprawiając, że Maria zaniemówiła. Kiedy zwijała się z rozkoszy, po policzkach ciekły jej łzy.

Naszego zachowania nie uznawano za niestosowne, lecz jedyną rzeczą, której surowo zakazywano była penetracja. Pod koniec

każdego semestru, szkolna pielęgniarka badała wszystkie dziewczęta, żeby upewnić się, że nadal są dziewicami. Kiedy okazywało się, że błona dziewicza którejś z uczennic została przerwana, przesłuchiowano dziewczynę. Jeżeli okazało się, że przyczyną takiego stanu rzeczy był nieczysty, heteroseksualny stosunek, wydalano ją ze szkoły.

Nie znałam wtedy nikogo, kto zostałby zmuszony do opuszczenia akademii z takiego powodu. Krążyła jedynie plotka o dziewczynie, której przytrafiło się to przed siedmioma laty. Mówiło się, że po odkryciu jej przewinienia, zniknęła bez śladu; tak jak wiele innych opowieści Satoru, również tę historię można było jednak poddać w wątpliwość, gdyż nie istniały żadne dowody, które potwierdzałyby jej autentyczność.

Kiedy skończyłyśmy, leżyliśmy na plecach wśród piaszczystych wydm, całe mokre od potu. Nagle przypomniało mi się coś, o czym mówił fałszywy minoshiro. Aby wyzbyć się przemocy, zdecydowaliśmy się zmienić strukturę naszego społeczeństwa i uczynić miłość jego podstawą, zupełnie jak u bonobo...

Od tamtego lata wiele bardzo istotnych dla nas rzeczy zaczęło pomału wymykać się spod kontroli; zajęcia fizycznymi zmianami, jakie zachodziły w naszych ciałach podczas okresu dojrzewania, zignorowaliśmy jednak ostrzegawcze symptomy.

Jaki właściwie był pierwszy znak? Nie potrafię sobie tego dokładnie przypomnieć, lecz wydaje mi się, że najpierw pojawiło się ogólne uczucie niepokoju i niewyjaśnionej nerwowości. Marię dręczyły częste bóle głowy, a ja borykałam się z nudnościami i zmęczeniem. Pozostali także cierpieli z powodu różnorodnych fizycznych dolegliwości, lecz wszyscy byliśmy przekonani, że są one związane z dorastaniem naszych organizmów.

Mniej więcej w tym okresie doszło do rozłamu w jednym ze związków. Dowiedziałam się o tym, kiedy przypadkowo wpadłam na ową parę idącą przez wioskę.

Shun pospiesznym krokiem szedł po biegnącej wzdłuż kanału ścieżce a Satoru próbował go dogonić. Tym, co przykuło moją uwagę, była postawa Shuna; był zdecydowanie bardziej wycofany niż wtedy, kiedy ostatnio widziałam go z Satoru.

– Hej, daj mi jeszcze jedną szansę. – Satoru dotknął Shuna w ramię, lecz ten odtrącił chłodno jego dłoń. – Shun, co się dzieje? – spytał. Wyraźnie słyszałam jego głos niesiony przez wiatr. Wydawał się być wręcz żenująco poirytowany.

– Nic. Po prostu chcę zostać sam na pewien czas – odparł Shun stanowczo.

– Wiem, że to ja zawiniłem. Proszę... – Satoru chwycił go za rękę.

– Ty zawiniłeś? Niby w czym? – Shun uśmiechnął się chłodno.

– Ja...

Biedny Satoru wyglądał na totalnie zagubionego. Chyba po raz pierwszy w życiu trzymałam jego stronę i miałam lekki żal do Shuna.

– Satoru, czy to już nie najwyższa pora żeby zakończyć tą romantyczną farsę? Mam już dość bycia twoją marionetką.

– O-och, rozumiem – odparł osłupiały Satoru. – Od teraz będę...

– Niczego nie rozumiesz. Czuje się osaczony, bo bez przerwy przy mnie łazisz. Chcę być sam. Dlatego nasze drogi powinny się rozejść w tym miejscu. Żegnaj – powiedział szybko Shun, odpychając Satoru na bok i zmierzając w moim kierunku.

Byłam zszokowana wyrazem jego twarzy. Miejsce chłodnego uśmiechu zajął zniekształcający rysy grymas cierpienia. Po chwili Shun wyczuł moją obecność; kiedy przemknął szybko obok mnie, udając, że mnie nie widzi, z jego oblicza zniknęły wszelkie emocje.

Satoru wciąż stał w tym samym miejscu jak skamieniały. Z początku chciałam go zawołać, lecz postanowiłam tego nie robić.

*Dlaczego? W głowie wirowało mi mnóstwo pytań. Dlaczego Shun zachował się tak okrutnie? Zawsze był najbardziej uprzejmą i troskliwą osobą z naszej grupy. Z tego, co udało mi się przypadkowo zaobserwować, nie zmieniło się to. Ewidentnie cierpiał.*

Kiedy następnego dnia spotkałam Shuna w szkole, nie zauważyłam w nim niczego niepokojącego. Zupełnie inaczej było z Satoru, po którym od razu dało się poznać, że został zraniony. Każdy kto na niego spojrział, od razu mógł zauważyć, że właśnie dostał kosza. Mimo tego, od czasu do czasu rzucał Shunowi pełne nadziei spojrzenia. Przykro było na to patrzeć.

Kilka dni później pojawił się następny zły omen.

Nasze ćwiczenia umiejętności praktycznych w Akademii Mędrców opierały się wtedy na indywidualnych zdolnościach każdego z uczniów. Ogólna technika używania cantusu zawsze była taka sama, ale poszczególne zadania bardzo różniły się stopniem trudności – poczynając od prostej wymiany energii, a kończąc na tak zaawansowanych procesach jak zimna fuzja. Większość klasy plasowała się pośrodku stawki, ale niektórzy byli w stanie podejmować się dużo bardziej wymagających technik.

Shun pozostawił resztę grupy daleko w tyle. Próbował właśnie zmusić kurczaka do wyklucia się z jaja w czasie krótszym niż dwie godziny. Było to skrajnie trudne do wykonania, ponieważ normalnie proces ten trwa około dwadzieścia pięć dni; innymi słowy, wykorzystując cantus, Shun miał zamiar przyspieszyć dwustupięćdziesięciokrotnie rozwój czegoś, czego nie mógł nawet zobaczyć.

Aby uzyskać pozwolenie na działanie cantusem bezpośrednio na żywe stworzenie nie wystarczało posiadanie wybitnych umiejętności; wymagana była też nadprzeciętna osobowość. Inaczej mówiąc, w Shunie pokładano niewyobrażalnie wielkie nadzieje na przyszłość.

Niespodziewanie, Satoru również należał do zaawansowanej grupy. Jego największym talentem była zdolność manipulacji światłem i refrakcją, a zadanie, które otrzymał polegało na stworzeniu lustra z powietrza i, nie licząc pracy Shuna, było jednym z najbardziej skomplikowanych przedsięwzięć. Jak wspomniałam już wcześniej, zmaterializowanie próżniowej soczewki, która mogłaby powiększać odległy obraz było czymś co odpowiadało umiejętnościom Shiseia

Kaburagięgo. Metoda Satoru, polegająca na stworzeniu odbijającej światło ściany z pary wodnej była zdecydowanie prostsza.

Z drugiej strony, umiejętność, którą ćwiczyłam ja sama była dość trudna, choć zdecydowanie nudniejsza. Musiałam złożyć roztrzaskaną szklaną wazę z powrotem w jedną całość. Maria ćwiczyła lewitację ciała, przyciągając uwagę wszystkich uczniów. Mamoru z kolei... Cóż, nie potrafię sobie przypomnieć co takiego właściwie trenował.

– Saki, patrz!

Spojrzałam w górę i ujrzałam bezkształtne, srebrzyste lustro, unoszące się metr nad moją głową. Odbijała się w nim moja twarz, na której malowała się ogromna koncentracja.

– Czy obraz nie jest trochę zniekształcony? – spytałam krótko.

Satoru, który spodziewał się z mojej strony pochwały, rzucił mi nadąsane spojrzenie. – Nie ma mowy, jest idealnie płaskie – odparł.

– Moja twarz nie jest taka zapadnięta.

– Co? Może to twoje serce jest zdeformowane?

Tą złośliwą odpowiedzią Satoru uciął naszą wymianę zdań, Lustro rozmyło się w powietrzu. Za każdym razem, kiedy chciałam podejść do Satoru, żeby z nim porozmawiać, widziałam, że przysuwa się bliżej do Shuna, obserwując go od tyłu.

Myślałam, że Satoru jest zaślepiiony miłością do Shuna, ale wyglądało na to, że zrozumiał w końcu, że nie ma żadnych szans na naprawę ich związku. Pokiwał głową i podszedł do Reia, niskiego chłopca z grupy piątej, który uśmiechał się do niego zalotnie. Rei od pewnego czasu podkochał się w Satoru, ale z powodu Shuna nigdy nie odważył się na żaden ruch. Satoru stworzył kolejne lustro, a Rei, klasowy narcyz, zaczął zachwycać się własnym odbiciem i stroić różne słodkie minki, zupełnie jak dziewczyna.

Przez cały ten czas Shun pozostawał skupiony na swoim zadaniu, ignorując panujący w klasie zgiełk. Przed nim stał zwykły kieliszek w którym leżało jedno kurze jajo. Wszyscy zdawali sobie

sprawę z trudności jego ćwiczenia, więc starali trzymać się z dala i nie przeszkadzać.

Ktoś wszedł do sali tylnym wejściem. Kiedy obrzuciłam tę osobę przelotnym spojrzeniem (pozwolę sobie wyjaśnić w tym miejscu, że wcale nie rozpraszam się tak łatwo, jak mogłoby się wydawać), doznałam szoku. To był Shisei Kaburagi. Jego oczy były zakryte przez przyciemniane, podobne do gogli okulary, lecz smukły nos i policzki oraz gładka skóra sprawiały, że wyglądał naprawdę młodo.

Nadzorujący nasze ćwiczenia Słoneczny Księżcunio podszedł do niego ze zdezorientowaną miną. Rozmawiali zbyt cicho bym mogła ich usłyszeć, lecz wyglądało na to, że Shisei Kaburagi przybył tu, aby obserwować uczniów.

Zaczęli w dwójkę przechadzać się po klasie. Wszyscy stali się nagle bardzo podenerwowani. Gdyby od początku każdy koncentrował się na swym zadaniu równie mocno, zapewne wszyscy już by skończyli.

Shisei Kaburagi zbliżył się do nas. Przeszło mi przez myśl, że może zainteresować się moją pracą, więc zaczęłam na poważnie próbować naprawić swoją wazę. Przypasowałam odłamane kawałki do właściwych miejsc i starałam się wyobrazić sobie, że pęknięcia znikają, przywołując obraz zamarzającego ponownie lodu.

Spojrzałam na niego, chcąc sprawdzić, jaka będzie jego reakcja. Okazało się, że po prostu mnie ominął. To było rozczarowujące. Wiedziałam, że moje zadanie jest zbyt nudne, by mogło przyciągnąć czyjąkolwiek uwagę.

Shisei Kaburagi zatrzymał się tuż przed Marią i wpatrywał się w nią przez dość długi czas. W jej technice nie było niczego szczególnie interesującego, więc być może po prostu podziwiał jej piękne, młode ciało. Pomimo, że sam wyglądał młodo, był mniej więcej w wieku naszych rodziców. Niezależnie od tego, jak potężną mocą dysponował, wciąż byłam lekko zniesmaczona sposobem, w jaki patrzył na Marię.

Równie długo zajęła mu ocena lustra Satoru i udzielenie mu kilku rad. Satoru zupełnie zaniemówił i cały poczerwieniał.

W końcu, Shisei Kaburagi podszedł powoli do Shuna, który nadal wpatrywał się w skupieniu w kurze jajo.

Wszyscy czekali na to historyczne spotkanie. Spodziewano się, że to Shun zastąpi w przyszłości Shiseia Kaburagiego na jego stanowisku. Po raz pierwszy miał teraz okazję, by otrzymać od mistrza jakieś wskazówki.

Shisei Kaburagi nagle gwałtownie się zatrzymał.

*Co się stało?* Mężczyzna cofnął się o krok, później o jeszcze jeden, a następnie odwrócił się na pięcie i pośpiesznie opuścił klasę, śledzony osłupiałym wzrokiem wszystkich uczniów.

Shun spojrzał na oddalającą się sylwetkę. Przeraził mnie wyraz jego twarzy.

Do dziś nie jestem pewna, co wtedy zobaczyłam. Ten grymas przypominał lodowaty uśmiech, lecz był znacznie bardziej przerażający, jakby pozbawiony nadziei na ratunek. Przypominał obłąkańczą minę kogoś, kto został pochłonięty przez bezkresną otchłań rozpaczy.

Słoneczny Księciunio, który wcześniej wypadł rozpaczliwie za Shiseiem Kaburagim, wrócił do klasy.

– Eee... Z powodu nieprzewidzianych okoliczności, na tym zakończymy dzisiejsze zajęcia. Zabierzcie wszystkie rzeczy i wracajcie do swoich klas,

Uśmiechał się tak, jak zwykle, lecz jego głos był zachrypnięty, a nos błyszczał mu od potu.

– Saki. – Satoru mnie dogonił.

– Co się, u diabła, właśnie wydarzyło?

Nie odpowiedział, lecz wskazał ruchem głowy Shuna, który nadal siedział nieruchomo przed swoim jajkiem.

– Chodźmy, Satoru – powiedział Rei, obejmując jego ramię i próbując go odciągnąć.



– Idź przodem. Później do ciebie dołączę – odparł Satoru, klepiąc Reia w pośladek i popychając go w kierunku wyjścia.

– No już, pośpieszcie się i posprzątajcie po sobie – ponaglił nas Słoneczny Księżcunio, klaszcząc w dłonie.

Włożyłam odłamki wazy z powrotem do pudła.

– Shun, nie idziesz? – spytała Maria.

Mamoru stał zaraz za nią. Wszyscy pozostali opuścili salę. Wewnątrz pozostał jedynie Słoneczny Księżcunio i my, pięcioro członków grupy pierwszej.

– Tak, już – odparł Shun, podnosząc się z krzesła. Był blady a na jego twarzy wciąż pozostał ślad po tamtym wykrzywionym uśmiechu.

– Co z tym? – spytała Maria, wskazując na kieliszek z jajkiem.

Shun chciał go podnieść, lecz nagle stracił równowagę. Jego ręce zadrżały, a jajo wypadło z podstawki. Wszyscy spodziewali się, że powstrzyma je przed uderzeniem o podłogę. Po tak długim treningu wszyscy potrafiliśmy w ułamku sekundy skupić myśli i wyszeptać mantrę. Nie ulegało wątpliwości, że Shun jest w stanie zrobić to na czas.

Mimo tego jajo upadło na parkiet i roztrzaskało się.

*Co się dzieje? Czy on jest chory?* Wszyscy wpatrywali się w Shuna. Byłam jedyną osobą, której uwagę przykuły pozostałości rozbitego jaja.

Nie. Możliwe, że ktoś jeszcze to dostrzegł.

– No już, już, szybciotko. Ja posprzątam resztę. – Słoneczny Księżcunio zatrważająco szybko wcisnął się między nas, rozpychając ramionami Shuna i Marię. Nie zdążyliśmy nawet mrugnąć okiem zanim zostaliśmy wygonieni z sali ćwiczeniowej.

– Shun, wszystko z tobą w porządku? – spytał zmartwiony Satoru, zupełnie zapominając, że Shun go rzucił.

– Tak... – odparł, unikając wzroku Satoru. – To nic takiego... Jestem po prostu zmęczony.

– Myślę, że powinniśmy dziś szybciej wrócić do domów – powiedziała Maria bez przekonania, marszcząc brwi.

Martwiłam się o Shuna znacznie mocniej niż pozostali, ale nic nie powiedziałam. Nie, raczej *nie mogłam* niczego powiedzieć.

Obraz tego, co kryło się wewnątrz jajka wypalił się na siatkówkach moich oczu. To pokryte śluzem stworzenie nie było kurczakiem, ani nawet nie przypominało go w jakimkolwiek stopniu.

To był potwór.

## Rozdział 2

Shun posiadał psa, który wabił się Subaru. Jego imię pochodziło od „gwiazdy Subaru” z „Zeszytów spod wezgłowia” Sei Shonagon i odnosiło się do konstelacji Plejad. Gdy dokładnie zbadałam tę kwestię, dowiedziałam się, że nazwa Subaru wzięła się od tego, że wiele gwiazd połączyło się ze sobą, tworząc jeden obraz.<sup>1</sup>

Pewnej zimowej nocy, ponad dwa tysiące lat po tym jak powstały „Zeszyty spod wezgłowia” na świat przyszło szczenię. To był ciężki poród; matka wraz z resztą miotu go nie przeżyła. Jedyne pozostałe przy życiu, narodzone pod rozgwieżdżonym niebem szczeniak otrzymał imię Subaru.

Subaru nie okazał się jednak „pięknym obrazem z połączonych gwiazd”, wbrew temu, co sugerowało jego imię. Większość psów w Kamisu 66 należy do typowych japońskich ras; mają zadarte uszy i podwinięte ogony. Buldogi, takie jak Subaru były rzadkie, lub z tego co mi wiadomo, mogły nawet zupełnie wymrzeć.

W porównaniu z innymi psami, Subaru był brzydki. Do tej pory nie wiem, czym właściwie kierowano się, tworząc tę rasę. Miał krótkie łapy, krępe ciało i pomarszczony pysk. Dokładnie na środku spłaszczonej mordki znajdował się zadarty nos. Co zadziwiające, wszystkie księgi zawierające informacje o buldogach, jakie udało mi się odnaleźć w ruinach biblioteki, były oznaczone jako klasa trzecia, czyli dzieła potencjalnie niebezpieczne, przy czytaniu których należy zachować ostrożność, co oznaczało, że nie były ogólnodostępne. Zastanawiałam się, dlaczego tak paranoicznie bano się udostępnienia informacji o powstaniu psich ras.

Satoru twierdzi, że z jednej z książek, które przeczytał, dowiedział się, że buldogi były rasą stworzoną w starożytnej Anglii do walk z bykami. Jeśli to prawda, może istnieć powiązanie między tą

---

<sup>1</sup> Słowo „Plejady” zapisuje się zazwyczaj znakami hiragana すばる (subaru), lecz Saki stwierdza, że imię pochodzi od zapisu kanji 続ばる (subaru), który można tłumaczyć jako „wiele złączone w jedno”

informacją a naszymi agresywnymi instynktami; w takim przypadku zakazanie tych ksiąg nie było pozbawione sensu.

Pomimo tego, że Satoru zmyślał różne historyjki na tyle często, że traktowałam jego słowa z pewną dozą podejrzliwości, nie uważałam wcale, że nigdy nie mówi prawdy. W tym przypadku jednak, z kilku powodów, po prostu nie potrafiłam uwierzyć w to, co od niego usłyszałam. Po pierwsze, nie potrafiłam sobie wyobrazić, dlaczego niby psy miały być potrzebne, żeby walczyć z bydłem. Satoru wyczytał, że był to rodzaj sportu, lecz nie mieściło mi się w głowie, że ludzie mogli być tak bezrozumnie brutalni. Po drugie, nie byłam do końca pewna jak duże były tamte byki, lecz w porównaniu do psów z pewnością były nieporównywalnie większe, co właściwie musiało uniemożliwiać walkę tych dwóch gatunków zwierząt. Po trzecie, jedyny znany mi buldog, Subaru, był niezwykle łagodny. Biorąc pod uwagę, że był potomkiem rasy stworzonej do zabijania, jego potulność była wprost niewyobrażalna. Co więcej, z tego co mi wiadomo, Subaru tylko jeden, jedyny raz w całym swoim życiu zachował się agresywnie. Ta opowieść musi jednak jeszcze trochę poczekać.

Shun był jedynakiem i opiekował się Subaru, zastępując mu matkę. Ponieważ pies nie potrafił zbyt szybko chodzić i łatwo się męczył, Shun nie mógł go wszędzie ze sobą zabierać, lecz od czasu do czasu widywałam ich na wspólnej przechadzce. Podczas tych spacerów długie, smukłe nogi Shuna w zabawny sposób kontrastowały z krótkimi, mocnymi łapami Subaru, którymi pies zwawo przebierał, by dotrzymać kroku swojemu panu.

Dlatego właśnie byłam zdziwiona, kiedy zobaczyłam Shuna idącego samotnie po wzgórzu, z którego rozpościerał się widok na wioskę. Była jesień, a zachodzące słońce wypełniało powietrze melancholią. Od incydentu w sali ćwiczeń praktycznych minęły około dwa tygodnie.

– Shun – zaczęłam go, kiedy zbliżył się do mnie ze zwieszoną głową, najwyraźniej głęboko zatopiony w myślach.

– Saki – odparł, jakby zbudzony ze snu.

W mętym, wieczornym świetle nie mogłam odczytać jego emocji.

– Co się dzieje? – spytałam, robiąc krok w jego stronę.

– Nie podchodź bliżej! – odpowiedział ostro.

Zatrzymałam się. Dzieliło nas jeszcze dwadzieścia metrów.

– Dlaczego? – spytałam. Mój głos był przepełniony smutkiem.

– Wybacz mi... Ale chcę być sam.

– Sam?

– Tak. – Shun spojrzał mi prosto w oczy po czym gwałtownie spuścił wzrok.

– To dlatego zerwałeś z Satoru?

– Tak, na to wygląda.

– Ale czemu? Pragniesz samotności tak bardzo, że porzucasz wszystkich przyjaciół?

– To nie... Nie zrozumiałabyś tego, nawet jeśli bym to wytłumaczył – odparł Shun, wyjmując coś z kieszeni.

Metalowe kule rozbłysły w promieniach zachodzącego słońca. To były bręczki, rodzaj kulek, które wydają bzyjący odgłos po tym, jak zostaną zawieszona w powietrzu i zakręcone wokół własnej osi przy użyciu cantusu. Były jednymi z pierwszych zabawek, które wykorzystywaliśmy w Akademii Mędrców w celu rozwijania naszych umiejętności. W klasie nie było już nikogo, kto nadal by z nich korzystał, więc to, że używał ich ktoś tak utalentowany jak Shun, było wyjątkowo dziwne.

– Myślę, że przez pewien czas nie będziemy mogli się spotykać.

Trzy kule lewitowały, okrążając głowę Shuna, odbijając światło i bręcząc nieharmonijnie.

– Co masz na myśli?

– Nie mogę na razie chodzić do szkoły. Muszę poddać się terapii.

– Jesteś chory? – Byłam bardzo zmartwiona. Czy to mogło być zaraźliwe? To dlatego nie mógł z nami przebywać?

– Hmm. Chory... Nie, to nie jest coś w rodzaju przeziębienia czy grypy żołądkowej. Jakby to wyjaśnić... To nie moje ciało choruje, lecz umysł.

Nie rozumiałam wtedy, czym jest ta „choroba umysłu”, o której mówił. Pomyślałam, że może to zakażenie jakąś bakterią lub wirusem.

– No cóż, muszę już iść.

– Poczekaj! – zawołałam za nim, gdy odwrócił się na pięcie. – Nawet jeśli nie możemy spotykać się w szkole, mogę cię chyba odwiedzać od czasu do czasu, prawda?

– Nie wiem – powiedział z wyraźnym wahaniem. – Nie będę już mieszkał w domu.

Westchnęłam. – No to dokąd się wybierasz?

– Do małej chatki, gdzie odbędzie to, co nazywają „rehabilitacją”. W każdym razie to wyjątkowo niewielki domek. Przeprowadzam się tam za kilka dni, aby żyć w samotności.

– Gdzie jest ta chatka?

– Nie mogę ci tego powiedzieć.

Zabrakło mi słów. Do tej chwili było dla mnie niewyobrażalne, byśmy mieli przed sobą jakieś sekrety. Jeśli naprawdę musiał dotrzymać tajemnicy, oznaczało to, że prawda musi być straszniejsza, niż mogłam sobie wyobrazić.

– Shun. – W głowie miałam pustkę i nie potrafiłam znaleźć odpowiednich słów. – Czy... Czy ty naprawdę będziesz tam zupełnie sam? A co z Subaru? – spytałam, przygotowując się w myślach na najgorsze.

– Został w domu – odparł od niechcienia. – Chciałem się trochę przejść, więc wymknąłem się bez niego.

Poczułam lekką ulgę, kiedy usłyszałam, że z Subaru wszystko w porządku, jednak coraz bardziej martwiła mnie druga kwestia. Co, na niebiosy, stało się Shunowi?

– Czy mogę ci pomóc w jakiś sposób?

Nie odpowiedział. Ciszę mąciło jedynie monotonne buczenie brzęczków.

– Shun, zawsze cię ko...

Już prawie wyznałam mu swoje uczucia, jednak przerwał mi w połowie zdania.

– Saki, nie wiem, czy powinienem ci to mówić, ale myślę, że tak będzie najlepiej.

– He?

– Pamiętasz letni obóz, na który udaliśmy się przed dwoma laty? Wydawało nam się, że zdołaliśmy zataić fakt, że Rijin zapieczętował nasz cantus. Tak się jednak nie stało.

– Co? – Nie miałam pojęcia, co próbuje mi przekazać.

– Prawdopodobnie o wszystkim wiedzieli. Choć nie wiem po co to zrobili, to myślę, że po prostu zdecydowali się odłożyć w czasie wymierzenie nam kary.

– Nie rozumiem do czego zmierzasz.

– Cały czas nas obserwowali. Dopiero niedawno się zorientowałem.

Poczułam, jak moje ciało robi się ciężkie. Cała pokryłam się zimnym potem.

– Prawdopodobnie jeszcze za wcześnie, bym musiał cię ostrzegać, lecz... Uważaj na koty, Saki.

– Koty? Jakie koty? Mówisz o zmyłkotach?

Shun skinął głową w dwuznacznym geście, który nie był ani potwierdzeniem, ani zaprzeczeniem.

– Ach, tak, jeszcze coś... Proszę, weź to – powiedział, rzucając mi naszyjnik, który zdjął ze swojej szyi.

Wisiołek był znacznie cięższy niż się spodziewałam. Gruba, skórzana obręcz, nabijana metalowymi, ruchomymi pierścieniami na zawiasach. Przypominała trochę obroże, jakie nosili niewolnicy.

– Co to jest?

– Amulet przeciwko kotom. Sam go zrobiłem.

– Subaru ma taki sam, prawda?

Tak właściwie, to naszyjnik w niczym nie przypominał obroży Subaru. Słyszając mój żart, Shun uśmiechnął się nieznacznie, ale nie

roześmiał się. Zaczął powoli się oddalać, lecz po chwili nagle się zatrzymał.

Jakieś nieduże, białe zwierzę truchtało w naszą stronę. Subaru. Biegł tak szybko, jak pozwalały mu na to jego krótkie łapki.

– Głupi pies... Mówiłem ci, żebyś za mną nie szedł – powiedział cicho Shun do samego siebie, po czym odwrócił się plecami do mnie i Subaru i szybko zszedł po zboczu w dół.

Mały buldog pognał za nim, merdając ogonem. Bieganie nigdy nie było jego mocną stroną, lecz teraz jego krok wydawał się jeszcze mniej stabilny.

Nagle spostrzegłam, że tylna prawa łapa Subaru wygląda na zranioną. *Nie, to nie to.* Było z nią coś nie tak.

Zanim jednak zdążyłam uważniej się jej przyjrzeć, Subaru zniknął w pogłębiającym się wieczornym mroku.

– Innymi słowy, musimy się dowiedzieć, dokąd udał się Shun – powiedział cicho Satoru.

– Ale jak? – spytałam go bez przekonania. Mimo wszystko, jego słowa trochę podniosły mnie na duchu.

– Jak? Wszystkimi dostępnymi metodami – odparł, zupełnie niezrażony.

– Nadal chcesz, żeby do ciebie wrócił? – spytała Maria, patrząc na niego cynicznie. – Teraz, kiedy wiemy już, że nie zerwał z tobą dlatego, że cię nienawidzi?

– Nie o to mi chodzi – odparł bezbarwnie Satoru. – Tak czy siak, wszyscy mamy do niego mnóstwo pytań, nie myślę się? Czy naprawdę jesteśmy pod stałą obserwacją? Co miał na myśli, mówiąc, żebyśmy uważali na koty? I... – Satoru zacisnął dłonie w pięści. – I co, do diabła, właściwie się z nim dzieje?

Poczułam bolesne ukłucie w sercu. Nie wspomniałam nikomu o tym, co zobaczyłam wewnątrz rozbitego kurzego jaja. Podświadomie wiedziałam, że jest to bezpośrednio związane z problemami trapiącymi właśnie Shuna, czymkolwiek by one nie



były. Gdybym jednak powiedziała o tym na głos, wszystkie moje głęboko skrywane strachy okazałyby się rzeczywistością; dlatego bez względu na wszystko musiałam trzymać buzię na kłódkę.

Shun od czterech dni nie pojawił się w szkole. Po lekcjach zebraliśmy się za budynkiem Akademii i zaczęliśmy dyskutować szeptem, stojąc tak blisko siebie, jak się dało.

– Ale jeśli oni naprawdę nas obserwują, to czy nie byłoby lepiej nie robić niczego, co mogłoby się wyróżniać? – spytał ostrożnie Mamoru.

– Tak, racja. Też myślę, że to zbyt niebezpieczne. – Maria wzięła stronę Mamoru.

– Więc chcecie po prostu opuścić Shuna? – spytał rozzłoszczony Satoru.

– Tego nie powiedziałam. Ale... – Maria rozejrzała się nerwowo. – Mam wrażenie, że nawet teraz jesteśmy obserwowani.

– Nikogo tu nie ma. Przestań się wydurniać – odparł drwiąco.

Nagle przyszła mi na myśl pewna rzecz. – Hej, pamiętacie, jak uciekaliśmy przed Kiroumaru? Przez całą noc śledziło nas wtedy to okropne ptaszysko.

– Ty też, Saki? Przecież to były wytresowane przez dziwoszczury kruki i kozodoje.

– Skoro dziwoszczury potrafiły zrobić coś takiego, to Komisja Etyki musi mieć w zanadrzu jeszcze sprytniejsze sztuczki, nie uważacie?

– No tak! Też słyszałem takie historie. Tacy geniusze jak Shisei Kaburagi, Koufuu Hino, czy Yuu Tatebe potrafią manipulować genami i tworzyć zwierzęta jedynie je sobie wyobrażając. Nie zdziwiłbym się, gdyby tamta dziwna pszczoła też właśnie nas śledziła.

Wszyscy zamilkliśmy. Wszystkim udzielił się ten przytłaczający nastrój. Jeśli wykorzystywali owady do prowadzenia podsłuchu, a my o tym nie wiedzieliśmy, wszystko było skończone. Inną kwestią pozostawało to, komu właściwie insekt wyśle swój raport po powrocie do kryjówki.

– No dobrze... Ja i tak mam zamiar wyruszyć na poszukiwanie Shuna. Nie musicie mi pomagać, jeśli nie chcecie.

– Ja pomogę – odparłam błyskawicznie.

– Czekaście! Teraz to wygląda tak, jakby nasz dwójka w ogóle nie przejmowała się Shunem – zaprotestowała Maria. – Miałam na myśli jedynie, że gdybyśmy wszyscy czworo zaczęli teraz węszyć po kątach, byłoby to zbyt podejrzane. Mam rację, Mamoru?

Mamoru otworzył usta. Wyglądało na to, że nie do końca zgadza się z Marią, ale ostatecznie skinął jedynie głową, nic nie mówiąc.

– Macie rację. Rozdzielmy się więc i zacznijmy poszukiwania.

Podzieliliśmy się na dwa zespoły. Maria i Mamoru poszli porozmawiać z przyjaciółmi Shuna z pozostałych grup, natomiast Satoru i ja udaliśmy się prosto do jego domu.

Mieliśmy szczęście, ponieważ gdy doszliśmy do doków, zastaliśmy tam zacumowany publiczny kajak. Popłynęliśmy siecią przeplatających się kanałów.

Wioska Sosnowy Wiatr leży w wysuniętym najdalej na północ regionie Kamisu 66, a dom Shuna znajdował się na jej najdalszym krańcu. To był ogromny budynek o spadzistym dachu, podpartym na grubej kolumnie o średnicy jednego metra, od której promieniście rozchodziły się podtrzymujące sufit belki. Bawiłam się tam czasami w dzieciństwie; za każdym razem towarzyszyła mi wtedy dziwna atmosfera strachu, tak bardzo niepasująca do drewnianej posiadłości. Kiedy jednak trochę dorośliśmy, zaczęliśmy preferować zabawy na zewnątrz i przestaliśmy odwiedzać się w swoich domach.

Kajak sunął zwinnie przez wodę, lecz Satoru nagle zwolnił, choć nie zbliżyliśmy się jeszcze nawet do skrzyżowania z kanałem wiodącym do Sosnowego Wiatru.

– Co się stało?

– Spójrz na to.

Podążyłam za jego wzrokiem i dostrzegłam liczne łodzie zacumowane w pobliżu rozwidlenia. Wszystkie były dużo większe od naszego kajaku, a na burtach czerwoną farbą namalowano na nich

„boskie oko”, czyli herb dystryktu oraz numer porządkowy. To były barki używane przez urzędników; na deskach widniały również zapisane sanskrytem słowa, określające czyją dokładnie własnością jest dana łódź. Na tych konkretnych widniał wyraz „Hirh”, symbolizujący Amitabhę, boginię o tysiącu rąk. Oznaczało to prawdopodobnie przynależność do Wydziału Zdrowia bądź Ochrony Środowiska.

– Po prostu je omińmy.

Nasz kajak popłynął na wprost. Rzuciłam okiem na skrzyżowanie kanałów i zobaczyłam rozciągniętą jakieś dwadzieścia metrów od wody taśmę w żółto-czarne pasy. To był jasny znak, że wstęp za nią jest zabroniony.

– Co tu się dzieje? Czy to znaczy, że nie możemy wejść do Sosnowego Wiatru?

– Na to wygląda.

– Ale... To niemożliwe.

*Czy to ma coś wspólnego z Shunem?* Chciałam zadać to pytanie na głos, ale byłam zbyt przerażona żeby w ogóle otworzyć usta.

– Zdaje się, że będziemy musieli po prostu ją przekroczyć.

– Nie uważasz, że drogi pilnują strażnicy?

– Chodźmy naokoło, przez las.

Zacumowaliśmy łodzie przy pomoście oddalonym od celu o około kilometr i zaczęliśmy iść w przeciwnym kierunku. Po naszej lewej znajdowała się trawiasta łąka, natomiast po prawej – zagajnik paproci, kamelii i iglaków. Upewniliśmy się, że nikt nas nie obserwuje po czym wślizgnęliśmy się do lasu.

– Mam co do tego złe przeczucia.

– Ta, ja też.

To dziwne uczucie narastało z każdym krokiem. Włoski na karku najeżyły mi się, jakby przed nami znajdowało się jakieś ogromne pole magnetyczne, odpychające od siebie każdy atom naszych ciał.

*Jaką odległość już przemierzyliśmy?* Nie minęło więcej jak kilka chwil, gdy zobaczyliśmy przed sobą czarne i żółte paski. Taśma rozciągała się nawet tutaj, w środku lasu.

– To chyba jakieś żarty. Kto w ogóle tędy chodzi?

– Wydaje mi się, że ona otacza całą wioskę.

Satoru założył dłonie na ramiona i przyjrzał się taśmie. Była opleciona zygzakami wokół drzew, ale nie było widać, by gdzieś zakręcała.

– No cóż, chyba będziemy w takim razie musieli przejść tędy. – Satoru pochylił się i prześliznął na drugą stronę rozciągniętej na poziomie oczu taśmy. Podążyłam za nim. Moje serce dziko biło; miałam świadomość, że poważnie naruszamy zasady, ale nie mieliśmy innego wyboru.

– Ćśś. – Satoru nagle się zatrzymał i gestem ręki dał mi do zrozumienia, żebym była cicho.

Zamarłam. Coś poruszało się pomiędzy drzewami, jakieś trzydzieści metrów od nas.

Satoru odwrócił się w moją stronę i wyszeptał coś bezgłośnie. *Dzi-wo-szczur...* Najwyraźniej stał na straży.

Przykłąkliśmy w cieniu rzucanym przez drzewa, starając się nie oddychać. Wykorzystując cantus, stworzyłam delikatny powiew wiatru, z którym ulotnił się nasz zapach.

Wydawało mi się, że upłynęła cała wieczność, lecz w rzeczywistości prawdopodobnie nie minęło więcej niż dziesięć minut. Rozległ się przeszywający dźwięk, niosący się echem pośród drzew. Dziwoszczur stanął na baczność i pognał w tamtym kierunku.

– Dobra, idziemy.

Wznowiliśmy naszą wędrówkę. Wreszcie dotarliśmy do utwardzonej ścieżki biegnącej przez iglasty las. Po jej drugiej stronie rosły ogromne sosny czerwone, od których Sosnowy Wiatr wziął swoją nazwę.

Upewniliśmy się dwukrotnie, że w pobliżu nie ma żadnych ludzi ani dziwoszczurów, po czym szybko przebiegliśmy w poprzek drogi, wpadając do sosnowego lasu.

Nagle poczułam, że zjeżyły mi się wszystkie włosy na ciele. W panice zaczęłam rozglądać się na wszystkie strony, lecz nie dostrzegłam niczego niezwykłego. Tylko drzewa i trawa. Mimo to czułam, że coś jest koszmarnie nie w porządku.

– Tak jak przypuszczałem, dzieje się coś dziwnego. Coś złego wisi w powietrzu. Nie powinniśmy pozostawać tu długo – powiedział Satoru, odczuwając najwyraźniej dokładnie to samo co ja.

– Co robimy?

– Skoro zaszliśmy już tak daleko, nie możemy się cofnąć, prawda? – wyszeptał, choć wyglądał na niezbyt przekonanego.

Weszliśmy jeszcze jakieś czterdzieści lub pięćdziesiąt metrów w głąb sosnowego boru. Właśnie wtedy naszym oczom ukazało się coś zupełnie niewiarygodnego. To była kolejna lina, rozciągnięta na wysokości twarzy. Tym razem nie była to jednak prosta czarno-żółta taśma.

– Święta Bariera! Dlaczego?

Śnieżnobiały sznur obwieszony ogromną liczbą wstążek. Dlaczego Święta Bariera, mająca chronić Kamisu 66 przed światem zewnętrznym pojawiła się tu, w Sosnowym Wietrze?

– Czyżby powierzchnia dystryktu się zmniejszyła?

– Nie, to nie to – odparł Satoru, badając linę. – Ta z pewnością jest zupełnie nowa. Stara Święta Bariera najprawdopodobniej jest w swoim zwykłym miejscu.

– Co to w takim razie jest?

– Inna bariera chroniąca wioskę. Otacza cały Sosnowy Wiatr.

Jakby na to nie patrzeć, nie było w tym żadnego sensu. Zadaniem Świętej Bariery była ochrona dystryktu przed plugastwami z zewnątrz; teraz jednak najwyraźniej miała nie pozwolić by zło wy dostało się z jej wnętrza.

– Tak czy inaczej, jeśli chcemy iść dalej, musimy przekroczyć tę barierę – westchnął głęboko Satoru.

Skinęłam głową. Przemieszczenie się na drugą stronę Świętej Bariery było zupełnie czymś innym niż przejście przez zwykłą taśmę oznaczającą „zakaz wstępu”. Jeśli ktoś odkryłby nasz czyn, nie wybronilibyśmy się z tego w żaden sposób.

Wiedziałam jednak, że to nasza jedyna możliwość by odszukać Shuna. Przeszliśmy na klęczkach pod liną, uważając, żeby nie musnąć żadnej ze wstążek. Na początku nie dostrzeżliśmy niczego szczególnego, jednak im dalej szliśmy, tym więcej zmian rzucało nam się w oczy. Gęste zazwyczaj leśne podszycie wyglądało teraz jak po przejściu huraganu. Wszystkie rośliny były powykręcane i zwiędłe.

Nie potrafiłam odczytać emocji Satoru. Maszerowaliśmy w ciszy naprzód.

Niebo zasnuwało tylko kilka chmur a słońce nadal było wysoko, lecz nasze otoczenie stawało się coraz ciemniejsze. Drzewa blokowały dostęp słonecznych promieni; ich grube gałęzie zdawały się łączyć ze sobą, tworząc rozpościerający się nad naszymi łowami dach. W przeciwieństwie do runa leśnego, drzewa najwyraźniej bardzo urosły, znacznie przekraczając swoje zwykłe rozmiary.

Satoru odłamał konar i podpalił go używając cantusu. Mimo, że był środek dnia, bez pochodni nie byliśmy w stanie dostrzec, gdzie stawiamy kroki.

Po chwili zauważyliśmy między drzewami błysk srebrzystego światła. Chcieliśmy podejść bliżej, lecz zatrzymała nas ściana z korzeni. Wyrastały z ziemi niczym olbrzymie węże, pozwijane i wykręcające się we wszystkie strony. Przejście na drugą stronę było niemożliwe. Wydawało mi się, że jestem na jakiejś obcej planecie. Miałam już zasugerować, byśmy pozbyli się przeszkody dzięki cantusowi, ale uświadomiłam sobie nagle, że byłby to oczywisty dowód na to, że tu byliśmy. Zaczęłam niechętnie szukać drogi między konarami, przeciskając się przez najszersze szczeliny.

– Spójrz, Saki – powiedział Satoru, odwracając się do mnie i unosząc pochodnię w górę.

Wskazywał na pnie drzew. Ich kora nie miała typowego dla czerwonych sosen wzoru przypominającego skorupę żółwia; zamiast tego były pokryte grudkami, wyglądającymi jak guzy albo nowotwory. W pewnym momencie zorientowałam się, że niektóre z nich wyglądają jak ludzkie twarze.

Twarze wykrzywione niewyobrażalnym cierpieniem, wrzeszczące z bólu; twarze umarłych.

Wzdrygnęłam się i odwróciłam wzrok.

– Pospieszmy się.

Właściwie to praktycznie przygotowałam się na jeszcze okropniejsze widoki, lecz zamiast tego ujrzałam coś naprawdę oszałamiającego.

To było nagie zbocze po którym musiała przetoczyć się lawina kamieni. Porastały je jedynie nieliczne drzewa a ziemia była usiana licznymi azaliami. Co najdziwniejsze, pomimo tego, że była już jesień, wszystkie te kwiaty były w pełnym rozkwicie. Stok mienił się różowymi i czerwonymi płatkami, a w powietrzu unosiła się najbardziej aromatyczna woń jaką kiedykolwiek czułam.

– Jakie to piękne... – westchnęłam, zaciągając się cudownym zapachem, po czym podeszłam bliżej by dokładnie przyjrzeć się kwiatom.

– Stój. Nie dotykaj ich. – Satoru złapał mnie za ramię. – Coś jest z nimi nie w porządku... Spójrz – powiedział, wskazując na coś przy swoich stopach.

Na ziemi leżały nieprzeliczone zdechłe mrówki, pszczoły, żuki, pająki i inne owady.

– Nie wydaje ci się, że ten zapach jest zdecydowanie za silny? Najprawdopodobniej w tych roślinach jest jakaś trująca substancja.

– W azaliach?

– Jakby na to nie patrzeć, to raczej nie są zwyczajne kwiaty.

Jego słowa zdawały się przełamać jakiś czar. Jeszcze raz spojrzałam na azalie. Do tej pory byłam zachwycona ich pięknem, lecz teraz zadrżałam na myśl o zdradliwej truciznie, którą zawierały.

To nie był jednak jedyny powód mojego zaniepokojenia.

– Czemu tutaj jest tak zimno?

Z głębi lasu wiał wyjątkowo chłodny wiatr.

– Sprawdźmy to – odparł Satoru. Wyglądał, jakby przygotował się już na najgorsze.

Jak w transie przedzieraliśmy się między drzewami, zmierzając w kierunku źródła ziąbu.

– Śnieg – krzyknął Satoru.

– To niemożliwe. Przecież jest dopiero jesień i jeszcze nigdzie nie pada... – Nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

Satoru dotknął białego puchu, który pokrywał korzenie drzew.

– Nie... Zaraz, to nie jest śnieg.

– Więc co to takiego? – spytałam, nie mogąc zdobyć się na odwagę by dotknąć białej substancji.

– Szron. Ale jest go tak dużo, że wygląda jak warstwa śniegu. Nie wiem dlaczego, ale grunt jest znacznie zimniejszy niż powinien, co powoduje, że woda zawarta w powietrzu zamarza.

W normalnych warunkach jedyną warstwą ziemi, która nigdy nie odmarzała była położona głęboko pod powierzchnią strefa wiecznej zmarzliny. *Nic tu się nie zgadza* – wyszeptałam do siebie. Zostały złamane chyba wszystkie normalne prawa natury.

Obeszliśmy zamarznięty obszar. Sto metrów dalej las nagle się urywał.

– Ostrożnie – upomniał cicho Satoru.

Położyliśmy się na ziemi i podczołgaliśmy w kierunku granicy drzew. Widok był niesamowity. Przed nami rozciągała się dwustumetrowa wyrwa w ziemi, kształtem przypominająca miskę. Była głęboka na jakieś pięćdziesiąt metrów i wyglądała jak pułapka zbudowana przez olbrzymiego mrówkolwa.

– Nie do wiary. Czy tu uderzył meteor?



– Ćśśś. – Satoru przyłożył palec do ust. – Tam są ludzie.

Na dnie dziury rzeczywiście dało się dojrzeć ludzkie sylwetki.

– To nie mógł być meteor... Uderzeniu, które spowodowało powstanie tak dużego krateru musiałaby towarzyszyć potężna eksplozja, a przecież niczego nie było słychać – wyszeptał w odpowiedzi na moje pytanie.

– No to skąd wzięła się ta dziura?

– Przestań mnie o wszystko wypytywać.

– Czemu? Nie znasz odpowiedzi?

Satoru wyglądał na obrażonego. – Mogę tylko snuć domysły. Ten krater prawdopodobnie został stworzony przez te osoby z dołu.

– Ale po co?

– Ćśś! – ponownie mnie uciszył.

Dwoje ludzi pomału lewitowało w górę. Przestraszyłam się, że lecą w naszą stronę, ale wylądowali po przeciwnej stronie niecki i odeszli. Kiedy zniknęli nam z pola widzenia, Satoru przestał ściszać głos.

– Z pewnością próbują coś odkopać.

Wlepiłam wzrok w dno krateru. Coś się tam znajdowało, ale było schowane przez rzucany przez ściany dołu cień. Gdybyśmy znajdowali się po przeciwnej stronie dziury, prawdopodobnie zdołalibyśmy dojrzeć, co to jest. Nagle przyszedł mi na myśl pewien pomysł.

– Satoru, stwórz nad tym lustro – poprosiłam.

Od razu zrozumiał, co chodzi mi po głowie. Powietrze zadrżało i pojawiły się oślepiające promienie światła, które rozbłysły we wszystkich kierunkach. Powoli stopiły się w jedno, tworząc tafle srebrzystego lustra.

– Obniż je trochę.

– O rany, przecież wiem!

Pomału pochylił lustro i zniżył jego wysokość. Po chwili mogliśmy już dostrzec, co kryje się na dnie krateru. Zaniemówiliśmy

zszokowani. Przecież tyle razy odwiedzaliśmy to miejsce. Dlaczego dopiero teraz zrozumiałam, na co patrzę?

W lustrze odbijał się duży budynek, prawie po dach zagrzebany w ziemi. Wystarczyło jednak jedno spojrzenie na ciemne deski, z których był zbudowany, bym uświadomiła sobie, że jest to dom Shuna.

Nie odzywaliśmy się zbyt często w drodze powrotnej.

W sosnowym lesie natknęliśmy się na wiele dziwacznych zjawisk, lecz mimo tego nasze myśli skupiały się głównie na Shunie.

Nie miałam pojęcia, co tam się stało ale wyglądało to tak, jakby Ziemia postanowiła połknąć w całości dom Shuna. Przetrvanie czegoś takiego wydawało się zupełnie niemożliwe. Dlaczego więc nie opuszczała mnie pewność, że Shun wciąż żyje?

Gdzie był? Czy wszystko było z nim w porządku? Czy potrzebował pomocy? Nie mogłam odpędzić się od zaprzątających moją głowę pytań, które pozostawały bez odpowiedzi.

– Mówiłaś, że wyszedł z domu, tak? No to nic mu nie jest – powiedział Satoru, raczej sam do siebie, aniżeli do mnie. – Poszukajmy go jutro rano, jestem pewien że go znajdziemy.

– Nie powinniśmy zacząć już teraz?

– Niedługo zajdzie słońce. Nie mamy nawet żadnej wskazówki co do miejsca pobytu Shuna. Wiem, że się martwisz, ale jutro możemy zacząć od nowa ze świeżymi umysłami.

Zastanawiałam się, jak on może być tak spokojny. Czy w ogóle się nie przejmował? Ja w przeciwieństwie do Satoru nie byłam do końca przekonana, że to dobry pomysł.

Udaliśmy się do parku, gdzie mieliśmy spotkać się z Marią i Mamoru, ale nie było po nich nawet śladu. Poczekaliśmy kilka minut lecz w końcu zdecydowaliśmy się wrócić do domów.

– No to widzimy się jutro.

Te słowa pożegnania z pewnością nie były adekwatne do sytuacji. Brzmiało to jakbyśmy mówili sobie „do widzenia” po

przyjemnym pikniku w parku. Każde z nas poszło w swoją stronę. Satoru udał się w kierunku Zbożowego Kręgu; ja natomiast wsiałam w kajak i odpłynęłam do Wodnego Młyna.

Gdy słońce schowało się za Górą Tsukuba, cała wioska pogrążyła się w cieniu. Zapłonęły pochodnie, w świetle których woda kanału mieniała się pomarańczowym blaskiem. Od zawsze była to moja ulubiona pora dnia; czas, gdy mogłam podziwiać krajobraz rozmyślając o wydarzeniach mijającego dnia i zastanawiając się, co przyniesie jutro.

Przycumowałam kajak za domem i weszłam do środka tylnymi drzwiami. Byłam zaskoczona tym, że moi rodzice tak szybko wrócili do domu.

– Witaj w domu – uśmiechnęła się mama. – Kolacja już gotowa. Minęło trochę czasu odkąd ostatni raz wspólnie jedliśmy.

Ojciec przypatrywał mi się uważnie, gdy siadałam do stołu, po czym uśmiechnął się szeroko.

– Spójrz na siebie. Cała jesteś umazana błotem, idź się umyć.

Spodziewałam się, że zacznie mnie wypytywać gdzie byłam, kiedy wrócę z łazienki, jednak tak się nie stało. Zaczął opowiadać o planach postawienia lamp ulicznych w centrum wioski, ponieważ światło, jakie dawały pochodnie najwyraźniej nie wystarczało mieszkańcom. Zastosowanie żarówek wymagałoby jednak elektryczności, która była dopuszczona jedynie do zasilania głośników na dachu sali zebrań. Dlatego też, żeby wprowadzić w życie ten plan, potrzebna by była rewizja Kodeksu Etyki.

– Nieważne, ile petycji byśmy nie wysyłali, najważniejsze szychy z Komisji Etyki nigdy się na to nie zgodzą – mruknął z niezadowoleniem mój ojciec, burmistrz dystryktu, trącąc pałeczką swój kawałek ryby.

– Dobrze by było, gdyby udało ci się najpierw działać coś w kwestii oświetlenia biblioteki – odparła matka. Jej zawód głównej bibliotekarki stawiał ją nawet na wyższej pozycji od burmistrza.

– Biblioteka i tak pochłania już jedną piątą naszego rocznego budżetu.

– Wiem. Ale ostatnio mamy taki nawał pracy, że musimy siedzieć do bardzo późna, a światło fosforescencyjne jest zbyt męczące – dodała, wskazując na zawieszoną nad stołem lampę.

Oświetlenie fosforescencyjne było wtedy wykorzystywane na szeroką skalę. Działające na takiej zasadzie lampy, często zwane kulami bontan były dużymi, okrągłymi tubami próżniowymi pokrytymi od wewnątrz specjalną farbą zawierającą platynę bądź iryd. Po naładowaniu lampy za pomocą cantusu, zaczynała ona świecić przez określony czas, po którym światło zaczynało słabnąć. Okres ten nigdy nie był jednak dłuższy niż pół godziny, więc kule trzeba było często ładować, co było dosyć uciążliwe.

– Obecnie tylko Wodny Młyn produkuje nadwyżkę energii elektrycznej, lecz nie da się stąd pociągnąć kabli aż do biblioteki w Zbożowym Kręgu.

– Nie możecie po prostu zbudować nowej elektrowni wodnej bliżej biblioteki?

– To byłoby trudne. Zakłóciłibyśmy komunikację, a zresztą woda w tamtejszych kanałach i tak płynie za wolno żeby dało się ją wykorzystać do produkcji energii.

Im dłużej kontynuowali tę ożywioną dyskusję, tym bardziej zdawało mi się, że coś jest nie w porządku. Odniosłam wrażenie, że robią to celowo, tylko po to, żeby nie dopuścić do skierowania rozmowy na tematy, których chcieliby uniknąć.

– Hej, czy wiecie może co stało się Shunowi...?

Obydwoje rodzice natychmiast zamilkli.

Poczułam jak serce zaczyna mi szybciej bić. Byłam w pełni świadoma, że to dość niebezpieczne pytanie. Dlaczego więc zadałam je na głos? Czy denerwowało mnie, że rodzice kontynuują swoją bezsensowną konwersację, podczas gdy ja tak bardzo zamartwiam się losem Shuna? A może podświadomie liczyłam, że uzyskam w ten sposób jakąś wskazówkę?

– Mówisz o Shunie Aonuma? – spytał cicho ojciec.

– Tak. Nagle przestał przychodzić do Akademii Mędrców. – Mój głos lekko się załamał.

– Nie wolno mówić o tych sprawach. Przecież ty też o tym wiesz, prawda? – uśmiechnęła się karcąco mama.

– Tak, ale... – Spojrzałam w dół. Byłam na granicy płaczu.

– Saki... Sacchan. – Moje łzy najwyraźniej zmiękczyły ojca. Nie nazywał mnie tak, od kiedy skończyłam cztery czy pięć lat.

– Kochanie... – powiedziała mama głosem pełnym zmartwienia.

– No dobrze, Saki, posłuchaj mnie. W życiu spotka cię wiele trudności. Jedną z nich są rozstania z najdroższymi przyjaciółmi.

– Co się stało z Shunem?! – krzyknęłam, przerywając mu.

Ojciec zmarszczył brew. – On... zaginął.

– Dlaczego?

– Kilka dni temu w Sosnowym Wietrze miał miejsce poważny wypadek. Od tego czasu nie widziano Shuna Aonumy ani jego rodziców.

– Wypadek? Jaki dokładnie? Nikt mi niczego o tym nie powiedział. Dlaczego to...

– Wystarczy, Saki! – ucięła ostro matka.

– Ale...!

– Martwimy się o ciebie, rozumiesz? Nie przerywaj i posłuchaj nas. Musisz przestać wtrącać się w sprawy, które cię nie dotyczą.

Niechętnie skinęłam głową i wstałam z krzesła.

– Saki, proszę. – dodała mama, hamując łzy, kiedy gotowałam się do opuszczenia jadalni. – Nie mogę stracić kolejnego... Nie, nie mogę stracić *ciebie*. Proszę, posłuchaj się nas.

– No dobrze. Jestem zmęczona. Idę spać.

– Dobrych snów, Saki – powiedział tata, obejmując mamę, która nerwowo skubała swój nos.

– Dobranoc.

Kiedy wspinałam się po schodach, w głowie dudniły mi słowa matki.

Nie mogę stracić kolejnego... Nie, nie mogę stracić ciebie. Proszę, posłuchaj się nas.

Przypomniało mi się też coś jeszcze. Przepełniony bólem głos.

Nie chcę stracić kolejnego dziecka!

Gdy położyłam się w łóżku, umysł zaprzątnęły mi tysiące różnych myśli, powodując, że nie mogłam zasnąć.

Zawsze zastanawiałam się, czy miałam kiedyś starszą siostrę. To przecucie po raz pierwszy pojawiło się gdy miałam dziesięć lat. Mama niepostrzeżenie zostawiła mnie bez opieki w bibliotece, gdzie znalazłam stary słownik należący do ksiąg klasy trzeciej. W Szkole Harmonii uczono, że nasze imiona są odzwierciedleniem życzeń i oczekiwań rodziców, więc chciałam się dowiedzieć, co może oznaczać moje imię.

„Sa” ma trzy znaczenia: „świt”, „wczesny” i „młody”, jednak nie wiedziałam o które z nich chodzi w moim przypadku. Ponieważ nadal byłam wtedy dzieckiem, oczywiste było dla mnie, że jestem „młoda”. Następnie poszukałam znaczenia „ki”. „Bardzo młody”, „czas”, „malutki”... Pomyślałam sobie, że obydwie sylaby znaczą dokładnie to samo, lecz wtedy właśnie natknęłam się na ostatnią definicję.

„Najmłodsze dziecko”.

Nie był to oczywiście ewidentny dowód na to, że w istocie byłam „najmłodszym dzieckiem”. Moja matka jak nikt inny przywiązywała jednak wagę do znaczenia słów. Pomyślałam, że gdybym była najstarszym dzieckiem, w moim imieniu nie pojawiłoby się „ki”.

Gdy o tym rozmyślałam, zaczęły przypominać mi się zatarte wspomnienia z dzieciństwa. Mogłam mieć wtedy dwa lub trzy lata. Zawsze był przy mnie ktoś, kto się mną wszędzie opiekował. Ta

osoba była ode mnie starsza, lecz znacznie młodsza od mamy. Na mnie rodzice wołali Sacchan, a na nią – Yocchan.

Racja. Moja siostra nazywała się Yoshimi.

Nie miałam pewności, że nie jest to tylko fałszywe wspomnienie, stworzone przez autosugestię, lecz po tym, jak usłyszałam matkę krzyczącą, że nie chce stracić *kolejnego* dziecka, zaczęło się to mi wydawać coraz bardziej wiarygodne.

*Jeśli w istocie jest to prawda i miałam kiedyś starszą siostrę, dlaczego już jej z nami nie ma? Czy naprawdę została wyeliminowana? A może ma to jakiś związek z tym, co dzieje się teraz z Shunem?*

Ostatecznie nie doszłam do żadnych wniosków, złapana w pułapkę zapętlonych, zawiłych myśli.

Nagle usłyszałam jak coś uderza w okno.

Podniosłam głowę z poduszki. Przez rozchylone zasłony do pokoju wpadało światło księżyca. Za szybą zobaczyłam kogoś lewitującego na poziomie pierwszego piętra.

Przez moment przemknęło mi przez myśl, że to jakieś nadprzyrodzone zjawisko i znieruchomiałam ze strachu. Po chwili jednak blask oświetlił burzę rudych włosów i uświadomiłam sobie, że osobą na zewnątrz jest Maria.

– Co się dzieje? – spytałam, otwierając okno.

– Przepraszam. Byłam w parku, ale nikogo tam nie było. Dostałam niezłą burę, kiedy wróciłam wcześniej do domu.

Nie byłoby ciekawie, gdyby moi rodzice ją zobaczyli.

– Szybciej, do środka – zaprosiłam Marię, żwawo gestykulując. Czemu zajęło wam to tyle czasu? Mielicie tylko przepytac kilka osób, prawda?

Maria mocno się do mnie przytuliła.

– Maria?

– Tak się bałam! O mało co nie zostaliśmy zabici!

– O czym ty mówisz? Opowiedz o tym dokładnie.

Maria cała się trzęsła, jednak zdołała zebrać się w sobie. Usiadła na łóżku obok mnie i zaczęła mówić.

Na początku wędrowali tylko bez większego celu, licząc, że natkną się na któregoś z kolegów Shuna. Mamoru miał najwyraźniej niezwykle szczęście w odnajdywaniu poszukiwanych rzeczy, więc zdołali spotkać i przepytać w ten sposób dwie lub trzy osoby. Nie otrzymali jednak żadnych wskazówek.

Wtedy uświadomili sobie coś dziwnego. Nie licząc grupy pierwszej, większość przyjaciół Shuna podobnie jak on mieszkało w Sosnowym Wietrze, jednak ponad połowa z nich nie pojawiła się na lekcjach w Akademii. Jedyna pochodząca stamtąd osoba odmówiła jakiegokolwiek rozmowy na ten temat.

Mieli już wyruszyć w stronę Sosnowego Wiatru, jednak przypomnieli sobie, że tam właśnie udałam się ja i Satoru, więc zawrócili w kierunku Akademii Mędrców. Tak jak zazwyczaj po lekcjach w szkole zostali jedynie bardzo nieliczni uczniowie. Maria i Mamoru mieli już wracać do domów, kiedy przypomnieli sobie coś, o czym w przeszłości rozmawiali Shun i Satoru. To była tamta historia o dziwnych, śmierdzących amoniakiem budowlach na dziedzińcu, z wnętrza których można było usłyszeć powarkiwania zwierząt.

– I dlatego właśnie postanowiliśmy sprawdzić dziedziniec... Oczywiście nie wierzyliśmy w to, że Shun tam jest, ale pomyśleliśmy, że może odnajdziemy na nim jakieś poszlaki.

Maria i Mamoru w jakiś sposób zdołali dostać się do środka dzięki łutowi szczęścia.

– Ale jak weszliście na dziedziniec? Shun i Satoru musieli przecież zapamiętać układ zamków.

– Potrafię lewitować, zapomniałaś? Przefrunęłam nad murem gdy nikt na nas nie patrzył. Oczywiście Mamoru nie mógł zrobić tego samego, więc musiałam otworzyć mu bramę od środka. W każdym razie Shun miał rację. Jest tam około tuzina promieniście ułożonych zamków, które...

Nie obchodziły mnie zamki.



– To nieistotne. Co się stało później? – spytałam ze zniecierpliwieniem.

– Nic. Zupełnie tak samo jak wtedy, kiedy byli tam Shun i Satoru, Jediną różnicą było pięć stojących w głębi dziedzińca ceglanych pokoików.

Przypomniałam sobie, że Shun opowiadał o tym jeszcze w Szkole Harmonii.

– Drzwi do tych budyneczków były z drewna, ale wyglądały naprawdę solidnie. Były prawdopodobnie dębowe, grube na cztery lub pięć centymetrów, a do tego biegły wzdłuż nich żelazne pręty z takimi zawiasami...

– W nosie mam te drzwi. Przejdź do sedna i powiedz, co widziałaś! – krzyknęłam poirytowana.

Maria doskonale potrafiła się koncentrować i miała ponadprzeciętną zdolność obserwacji, jednak zupełnie nie potrafiła streścić krótko tego, co ujrzała.

– Przepraszam. W każdym razie chcieliśmy dowiedzieć się, co jest w środku, ale nie potrafiliśmy otworzyć drzwi, nie niszcząc ich przy tym.

– To ja przepraszam. Po prostu bardzo chciałam wiedzieć co tam znaleźliście.

– Przyłożyliśmy więc uszy do drzwi i coś usłyszeliśmy...

– Jak brzmiał ten dźwięk?

– Cichy mruk. A później odgłosy kroków jakiegoś dużego zwierzęcia chodzącego tam i z powrotem. Byłam przekonana, że cokolwiek siedzi w środku, również wyczuło naszą obecność.

– Poczekaj chwilę. W tych szopach jest aż tyle miejsca?

– Och, raczej nie. Myślę, że te budynki to tak naprawdę jedynie wejścia do piwnic lub podziemnych cel. Wydawało mi się, że to stworzenie znajduje się gdzieś pod nami.

– Hmm. Ale ostatecznie i tak nie udało wam się dowiedzieć, co wydaje te dźwięki?

– Daj mi skończyć opowieść. Później zobaczyliśmy to stworzenie, choć nie w całej okazałości.

Powstrzymałam przemożną chęć wrzaśnięcia na nią, żeby się pospieszyła i słuchałam w ciszy dalszego ciągu historii.

– Już mieliśmy z Mamoru zajrzeć do środka, kiedy usłyszeliśmy szcęk otwieranych zamków w bramie. Ktoś wchodził na dziedziniec. Nie było tam żadnego miejsca, w którym moglibyśmy się ukryć, więc szybko wskoczyliśmy za ceglane szopy. Schowaliśmy się w samą porę, bo po chwili brama się otworzyła i oni weszli na plac.

– Ale kto?

– Nie widziałam twarzy, ale po ich rozmowie wywnioskowałam, że były tam trzy osoby. Jedną z nich prawdopodobnie był Słoneczny Księciunio. Towarzyszył mu inny mężczyzna oraz kobieta, której głos brzmiał tak jak tamtej, która przesłuchiwała nas po powrocie z letniego obozu.

Przełknęłam ślinę.

– O czym rozmawiali?

– Słyszałam jedynie strzępki konwersacji, ale ten drugi mężczyzna mówił, że muszą się pospieszyć i załatwić sprawę, zanim dojdzie do pełnej przemiany w demona. I, że jeśli im się nie uda, to skończy się to katastrofą albo coś w tym rodzaju. I tak nie wiem o co mu chodziło z tym demonem.

Jakaś część mnie była na to przygotowana, ale i tak poczułam się, jakby ktoś zdzielił mnie w głowę metalowym prętem. Najprawdopodobniej dorośli mieli na myśli karmicznego demona.

– A... A później? – Zmusiłam się, żeby zadać pytanie.

– Kobieta powiedziała, żeby natychmiast wysłać przekłete koty. Słoneczny Księciunio zapytał się wtedy, czy ma na myśli czarnego i pasiastego, których zazwyczaj używają. – Głos Marii zadrżał. - Potem otworzyli drzwi do tych budynków. Dokładnie do drugiego i czwartego. Wyszły z nich te ogromne zwierzęta. Zdażyłam jedynie przelotnie na nie spojrzeć, ale wyglądały jak lwy, które trzymano

w dawnych ogrodach zoologicznych, choć były od nich znacznie chudsze.

– Te stworzenia... Przeklęte koty. Czy one nie wyczuły, że się ukrywacie?

– Wyczuły. Ktoś jednak od razu wykorzystał cantus, żeby je spętać, po czym zostały gdzieś przetransportowane, więc nie zdradziły naszej kryjówki... Ale jest jeszcze jedna, najważniejsza rzecz! Słoneczny Księciunio przez przypadek wyjawiał, dokąd wysłano koty. Powiedział, że to okropne, że muszą pozbywać się tak utalentowanego dzieciaka.

Wiedziałałam już o kogo chodzi.

– Usłyszeliśmy to na własne uszy! Mówił o Shunie Aonuma.

## Rozdział 3

Nie potrafię sobie przypomnieć, jak właściwie udało mi się wtedy uspokoić Marię. W każdym razie musiałam powiedzieć jej coś, co sprawiło, że przestała wierzyć, że Shun jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Nie umiem kłamać tak dobrze jak Satoru, ale gdy sytuacja tego wymaga, potrafię być dość przekonująca. Obiecałam więc Marii, że jutro z samego rana wyruszymy na poszukiwania Shuna i jakoś nakłoniłam ją, żeby wróciła do swojego domu.

Byłam świadoma, że czułabym się znacznie pewniej, gdybyśmy wyruszyły we dwójkę, ale nie mogłam narażać życia swojej przyjaciółki.

Kiedy się oddaliła, szybko się ubrałam. Na sweter zarzuciłam wiatrówkę i spięłam włosy spinką. Często przebywałam poza domem, więc miałam przygotowany podręczny pakunek, który zawierał lekarstwa, kompas i inne rzeczy przydatne w awaryjnych sytuacjach. Schowałam go do plecaka. W ostatniej chwili przypomniałam sobie jeszcze o amulecie, który dostałam do Shuna i dołożyłam go do bagażu.

Cicho wyszłam przez okno na dach. W przeciwieństwie do Marii, nie opanowałam jeszcze lewitacji, więc wyszeptałam swoją mantrę i skoczyłam najdalej jak potrafiłam. Mój cantus natychmiast się obudził; podmuch powietrza który mnie uderzył przypominał plaśnięcie o powierzchnię wody. To było jak spadanie we śnie. Straciłam równowagę i wylądowałam niebezpiecznie na jednej stopie, lecz na szczęście niczego sobie nie uszkodziłam.

Nie było czasu do stracenia. Pozbierałam się i szybko przebiegłam na tyły domu, odwiązałam zacumowany przy pomoście kajak i jak najszybciej odpłynęłam ciemnym kanałem. Kiedy już wystarczająco się oddaliłam, nadałam łodzi maksymalną szybkość.

Nie wiedziałam, czy dotrę na czas. Było ciemno, a ja płynęłam tak szybko, że popełnienie najmniejszego błędu poskutkowałoby silnym uderzeniem i zatonięciem kajaku, jednak nie narzekałam.

Miałam zamiar uratować Shuna bez względu na wszystko. Musiałam zdążyć. Skoncentrowałam się na tym celu całą sobą.

Gdy mknęłam przez pogrążoną w mroku wodę, ogarnęło mnie dziwne uczucie *déjà vu*.

To był pierwszy dzień naszego letniego obozu, kiedy płynęłam nocą kajakiem razem z Shunem. Wygładził wtedy powierzchnię rzeki, przekształcając ją w olbrzymie lustro, odbijające rozgwieżdżone niebo.

Shun popychał Hakurena 4 przez fale stworzone z nieprzeliczonych fragmentów błyszczących gwiazd. Płynąca woda i obydwaj brzegi rzeki były jedną smugą wśród ciemności. Nie potrafiłam wtedy stwierdzić jak szybko się poruszam. Dokładnie tak samo się teraz czułam.

Łódka, którą teraz płynęłam również nosiła imię Hakuren 4. Tak właściwie nadawanie dwóm kajakom takich samych nazw było niedozwolone ale nie potrafiłam wymyśleć dla niej lepszego imienia.

W mig dotarłam do rozwidlenia prowadzącego do Sosnowego Wiatru. Zatrzymałam się tam. Wcześniej, dzisiejszego popołudnia, stało tu sporo zacumowanych barek, lecz teraz, w środku nocy, pozostała tylko jedna. Na jej pokładzie paliła się pochodnia ale nie dostrzegłam oznak niczyjej obecności.

Tym razem nie było czasu na pójście okrężną drogą przez las. Musiałam przepłynąć przez rozwidlenie. Pomału przemieściłam się do przodu, z całych sił koncentrując się na wygłuszeniu dźwięku fal. Hakuren 4 wśliznął się w krąg światła, przemykając pod zagrządzającą drogę taśmą.

Gdyby ktoś w tym momencie wyszedł z barki, byłby to koniec mojej wycieczki. Wstrzymywałam oddech dopóki, dopóty Hakuren 4 nie oddalił się wystarczająco, by skryć się wśród mroku.

Stacjonujący na tamtej łodzi strażnik prawdopodobnie nie śmiał nawet przypuszczać, że ktoś może odważyć się złamać zasady i spróbować przedostać się do Sosnowego Wiatru. W przeciwnym

wypadku prześlizgnięcie się obok niego nie byłoby nawet w połowie tak łatwe.

W milczeniu popłynęłam dalej i szybko przedostałam się do nowej Świętej Bariery. Nie spotkałam nikogo w jej pobliżu.

Blask księżyca oświetlił znajdujące się na wprost mnie dwie wysokie sosny. To powinno być już centrum wioski. Wpatrując się w mrok udało mi się dostrzec zarysy domów stojących wzdłuż brzegów rzeki, lecz w żadnym z nich nie paliło się światło. Sosnowy Wiatr całkowicie się wyludnił. Skręciłam, wpływając w wiodący na północ kanał.

Nie wiedziałam gdzie dokładnie mieszka teraz Shun, ale miałam ogólne pojęcie, gdzie powinnam się skierować. Jego dom znajdował się na północnych rubieżach Sosnowego Wiatru, a skoro miał udać się do jeszcze bardziej odizolowanej od ludzi chatki, istniała duża szansa, że znajduje się ona jeszcze dalej na północy, gdzieś w pobliżu Świętej Bariery. Mogłam utrzymywać prawidłowy kierunek, opierając się na wskazaniach kompasu, lecz podstawowym pytaniem pozostawało to, jak długa wędrówka mnie czeka.

Pięćset metrów dalej wąski kanał się urywał. Wieńcząca go przystań była już pełna przycumowanych łódek, więc przywiązałam Hakurena 4 do drewnianego pala i, skacząc po pokładach pozostałych kajaków, wydostałam się na brzeg. Moją uwagę przykuła fantazyjna pochodnia znajdująca się na jednej z łodzi. Nie była wykonana ze zwyczajnej gałęzi, lecz ze związanych ze sobą łądyg bambusa, wypchanych materiałem opałowym złożonym z materiału, słomy i opilek magnezu. Rozpaliłam ją dzięki cantusowi. Obudziła się do życia, rozbłyskując jasnym, olśniewającym blaskiem, który porządnie oświetlił moje otoczenie.

Nie znałam dobrze Sosnowego Wiatru, więc nie potrafiłam powiedzieć, gdzie dokładnie się znajduję, ale odwróciłam się w stronę północy i zaczęłam iść.

Podczas marszu zdawało mi się, że to, co widzę w świetle pochodni jest od dawna opuszczonym miastem duchów. Nie minęło

dużo czasu od ewakuacji mieszkańców, jednak mimo to na ulicach Sosnowego Wiatru zalegały sterty śmieci i gałęzi a budynki zdawały się popadać w ruinę. Panująca w wiosce upiorna atmosfera została jednak przesunięta na drugi plan przez coś jeszcze bardziej niepokojącego.

Blask płonącej pochodni był tak silny, że wszystko, co pozostawało poza oświetlonym przezeń kulistym obszarem wydawało się tonąć w nieprzeniknionych ciemnościach. Nie miałam pojęcia na co mogę natknąć się po paru krokach; z drugiej strony, gdyby ktoś obserwował mnie z daleka, widziałby jak na dłoni każdy mój ruch.

Logika podpowiadała mi, że trzymanie zapalanej pochodni jest ryzykowne, lecz pierwotny instynkt podszeptował, że światło jest równoznaczne z bezpieczeństwem. Próbowałam przytłumić płomień, lecz kontrola nad ogniem okazała się dla mnie zbyt trudna. Potrafiłam jedynie zupełnie go zgasić lub sprawić, żeby płonął z pełną mocą.

Spojrzałam na rozrzucone pod moimi stopami gałązki. Gdybym zbierała je po drodze i pojedynczo rozpalała, zawsze miałabym niewielkie źródło słabego światła. Pomyślałam, że powinnam była zrobić tak od samego początku i odrzuciłam pochodnię.

Wszystko wokół otulił mrok. Przed oczami zatańczyły mi zielone i czerwone kręgi.

Podpaliłam jedną z gałązek.

Tuż przede mną stał olbrzymi, czarny kot.

Słowo „olbrzymi” właściwie nie wystarczy by go dobrze opisać. Tak jak mówiła Maria, był co najmniej równie duży jak lew. Jego szyja i łapy były nienaturalnie długie, za to głowa – nieproporcjonalnie mała, najwyżej wielkości łba lamparta. Był jednak na tyle wysoki, że jego błyszczące oczy znajdowały się na tym samym poziomie co moje.

Czarne kocisko zamruczało z zadowoleniem i rzuciło się na mnie opierając przednie łapy na moich ramionach. Już po chwili jego olbrzymie szczęki obejmowały moją szyję.

Słyszałam zgrzytanie jego zębów. W głowie miałam zupełną pustkę, nie potrafiłam nawet powtórzyć swojej mantry.

*Więc to jest przeklęty kot...* To był jedyny wniosek, do którego mógł dojść mój spanikowany umysł.

Poczułam jego oddech na włosach i ślinę skapującą na moją twarz. W powietrzu unosił się bardzo silny smród amoniaku.

Powoli zaczęło do mnie docierać, że wciąż jestem przytomna.

Zęby stwora z potężną siłą zaciskały się na mojej szyi, jednak nie zdołały przebić skóry. Do był amulet, który dostałam od Shuna. Gruby, metalowy pierścień uchronił mnie przed śmiercią.

Gdy tylko sobie to uświadomiłam, instynktownie wyrecytowałam w myślach swoją mantrę. Spróbowałam rozluźnić uchwyt szczek zaciśniętych wokół mojego karku. Słyszałam, że kiedy przeklęty kot coś ugryzie, specjalny staw wewnątrz jego czaszki powoduje zablokowanie się szczek, przez co bardzo trudno jest rozewrzeć je używając siły. Taki mechanizm nie mógł się jednak równać z potęgą cantusu. Kość zaskrzypiała i roztrzaskała się na kawałeczki; żuchwa kota bezwładnie opadła. Byłam wolna.

Szybko się wycofałam, podniosłam płonąca gałąź i oświetliłam jej blaskiem obrzydliwy pysk potwora. Kot łypnął na mnie i zasyczał ostrzegawczo jak wąż. Z jego długich kłów, przypominających zęby żyjących wieki temu tygrysów szablastozębnych, spływały kropelki krwi.

Wyobraziłam sobie obraz pary umięśnionych rąk unoszących się przede mną w powietrzu. Jedna z tych dłoni złapała przeklętego kota za kark a druga objęła jego ciało i wykręciła je jak mokry ręcznik. Usłyszałam cichy odgłos pękającego kręgosłupa. Kot szarpnął się gwałtownie, znieruchomiał i upadł martwy na ziemię.

Siedziałam tam dłuższą chwilę, dysząc ciężko. Nie mogłam powstrzymać płaczu. Bolała mnie szyja; odkryłam że metalowa obroża powyginała się i nie da się jej odpiąć. Rozerwałam ją więc używając cantusu i ostatecznie udało mi się z niej uwolnić.



Po kilku chwilach jakoś się pozbierałam i podeszłam do ciała przeklętego kota, żeby lepiej się mu przyjrzeć. Wyglądał dokładnie tak jak opisywały to te wszystkie opowiadane na szkolnych korytarzach historie o zmyłkotach. Trzymetrowe ciało, chudsze niż u tygrysów czy lwów i nienaturalnie wydłużone kończyny. Pysk prawie taki sam jak u zwykłych kotów; jedyną różnicą było to, że jego szczęki mogły rozewrzeć się znacznie mocniej.

Dotknęłam długich kłów wystających z szeroko rozdziawionej paszczy. Miały ponad piętnaście centymetrów, były owalne na przekroju i szorstkie jak skóra rekina. Wyglądało na to, że kot zazwyczaj trzymał je schowane w pysku. W przeciwieństwie do tygrysów szablatozębnych, przeklęte koty miały długie kły o tępych zakończeniach wystające zarówno z żuchwy jak i z górnej szczęki. Nie zabijały ofiary przez nadziewanie jej na zęby; zamiast tego uciskały jej tętnice szyjne, powodując, że się dusiła.

Przyszło mi do głowy tylko jedno uzasadnienie dla takiej metody uśmiercania. Aby utrwalić legendy o zmyłkotach, dzieci musiały być zabijane bez pozostawienia żadnych śladów, takich jak kropelki krwi. W ten sposób nigdy nie było żadnego dowodu na to, że mogło mieć miejsce morderstwo. Nieważne ile by o tym nie myśleć, nie dało się zaprzeczyć, że przeklęte koty były rasą stworzoną tylko w jednym celu – aby zabijać.

Zwymiotowałam. Bez względu na to, jak bardzo potworną kreaturą był ten kot, moje ciało zareagowało tak instynktownie na zamordowanie stałocieplnego zwierzęcia, jednak chyba nawet bardziej przyczyniła się do tego ogromna odraza jaką poczułam, uświadamiając sobie istnienie tych plugawych stworzeń.

Po jakiejś godzinie dotarłam w końcu do ogromnej dziury w ziemi, która była kiedyś domem Shuna. Musiałam się spieszyć. Cała byłam zlana potem i oblepiona śliną przeklętego kota, która przesiąkła mi przez ubranie i spłynęła aż do skarpetek. Była zimna i wyjątkowo nieprzyjemna, ale nie miałam czasu, żeby się zatrzymać i powycierać.

Nauczona tamtym zdarzeniem, podczas którego otarłam się o śmierć, nie zapaliłam żadnej pochodni. Gdybym zbyt przyzwyczała oczy do światła, nie byłabym w stanie niczego dostrzec gdyby coś zgasiło ogień. Lepiej było pozwolić, żeby wzrok przystosował się do mroku najbardziej, jak to możliwe.

Pomimo tego, że kierując się wskazaniem kompasu zmierzałam na północ, nie miałam pewności, że idę w dobrą stronę aż do czasu, gdy natknęłam się na oświetloną blaskiem księżycy pajęczynę.

Nici były poskręcane i pozwijane w taki sposób, że przypominały twarze i słowa. Choć wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam, pajęczne sieci są jednym z najwrażliwszych naturalnych wskaźników, informujących, że dzieje się coś niedobrego.

Im bardziej zbliżałam się do Świętej Bariery, tym bardziej zdeformowane drzewa mijałam. Większość z nich była pochylona w tę samą stronę, zupełnie jakby wyginał je wiejący bez ustanku wichur.

Po chwili doznałam wszechogarniającego uczucia niepokoju.

*Uciekaj. Już. Zwiewaj stąd najdalej, jak potrafisz.* To właśnie podpowiadał mi jakiś wewnętrzny głos. Nie chciałam zostawać w tamtym miejscu ani sekundy dłużej.

Pomyślałam jednak o Shunie i desperacko spróbowałam dodać sobie odwagi. Nie mogłam zawrócić. Byłam jedyną osobą, która mogła go uratować.

Parłam naprzód, kierując się zniekształconą roślinnością. Las wydawał mi się zdeformowany w taki sposób, że tworzył ogromną spiralę. Jeśli miałam rację, Shun musiał znajdować się w jej środku.

Sylwetki drzew przypominały olbrzymie, pochylające się nade mną, mackowate stwory. Szłam dalej, pochylając się i przeczołgując pod ich konarami.

Zanim zdołałam sobie to uświadomić, wszystko wokół zasnęła ciężka, mlecznobiała mgła, ograniczająca pole widzenia do zaledwie kilku centymetrów przed moim nosem. Słyszałam szepczące głosy.

Wiatr, odgłos śmiechu i, od czasu do czasu coś, co brzmiało jak słowa; nie potrafiłam jednak wychwycić ich treści.

Informacje, dostarczane przez zmysły były niespójne i zniekształcone. Nawet ziemia pod moimi stopami wydawała się miękka i niepewna. Igła kompasu zaczęła kręcić się bez celu w kółko.

Po chwili nie byłam już w stanie nawet stwierdzić czy jest jasno, czy ciemno. Oczy odmówiły mi posłuszeństwa.

*Co się dzieje?*

Głowa zaczęła pulsować mi straszliwym bólem, zupełnie jakby ktoś próbował mi ją zmiażdżyć obcęgami. Samo myślenie stało się zbyt dużym wysiłkiem. Stałam jak sparaliżowana, miałam wrażenie że uleciały ze mnie wszystkie uczucia. Nie potrafiłam nawet powiedzieć, czy stoję, czy siedzę.

*Co to za miejsce?*

– Shun! Gdzie jesteś? – krzyknęłam.

Kiedy usłyszałam własny głos, poczułam nagle otrzeźwienie lecz po chwili znów wszystko zaczęło zanikać. Miałam już wrażenie, że zaraz stracę przytomność, lecz właśnie wtedy usłyszałam wołanie.

– Saki! Co ty tutaj robisz?

– Nie wiem! Nie mam nawet pojęcia gdzie...

Opary mgły nagle się rozwiały, zupełnie jakby zostały odessane a ziemia powróciła do swojej normalnej stabilności.

– Shun!

Dwadzieścia metrów ode mnie stał młody mężczyzna, którego twarz skrywała się za maską czystości, taką samą, jaką nosili *shinshi* w czasie święta pogoni za demonami. Głos jednak bez wątplenia należał do Shuna.

– Nie powinnaś była tu przychodzić. Wracaj do domu, Saki.

Pokręciłam głową.

– Spójrz na to – odparł, wskazując na glebę.

Na początku wydawało mi się, że jest za ciemno, żeby cokolwiek dojrzeć, ale po chwili ziemia zaczęła słabo świecić i ujrzałam, że pokrywają ją wijące się owady.

Wszystkie z nich były zdeformowane. Ćmy we wszystkich rozmiarach, niezdolne do lotu z powodu postrzępionych skrzydeł i powybrzuszanych odwłoków. Żuki z wydłużonymi odnóżami po jednej stronie ciała, kręcące się nieustannie w kółko jak na szczudłach. Wije, których przedni i tylny koniec były złączone ze sobą w taki sposób, że ciała insektów dosłownie tworzyły pierścień.

– Jeśli nie chcesz skończyć w taki sposób, musisz stąd odejść, i to natychmiast.

– Nie – odparłam z uporem. – Powiedz mi, co tu się właściwie dzieje. Nie ruszę się nawet o cal, dopóki tego nie zrobisz.

– Nie bądź głupia! – odpowiedział ostro Shun.

– Nie mam nic przeciwko byciu głupią. Przeszłam taki kawał żeby cię ocalić. Po drodze prawie zginęłam w zębach przeklętego kota – odparłam zduszonym głosem.

– Natknęłaś się na kota?

– Tak. Uszłam z życiem dzięki talizmanowi, który mi dałeś. Prawdopodobnie w pobliżu kręci się jednak jeszcze jeden kot.

– No tak... – Wziął głęboki wdech. – W porządku. Dziesięć minut. Możesz zostać tu przez dziesięć minut a ja postaram się wyjaśnić ci tyle, ile zdołam. Kiedy jednak czas minie, będziesz musiała odejść.

Nie mogłam tak stać i sprzeczać się z nim w nieskończoność, więc skinęłam głową.

Nagle cała okolica została rozświetlona jakby wielkim reflektorem. Spojrzałam w górę i zobaczyłam rozciągającą się na całym niebie zorzę polarną. Bładozielona kurtyna zwisała między chmurami, mieniając się różowymi, czerwonymi i fioletowymi odblaskami.

– Jak...? Shun, ty to robisz?

Wiedziałam, że zorzę polarną można zaobserwować tylko w pobliżu biegunów. Pomimo tego, że nie do końca wiedziałam na jakiej zasadzie działają słoneczne wiatry, plazma czy cokolwiek

innego, co ją tworzy, miałam pewność, że stworzenie czegoś takiego było wyczynem, którego nie dokonałby nawet Shisei Kaburagi.

– Będę jednak musiał złamać tę obietnicę, w razie gdyby podczas rozmowy zaatakował nas przeklęty kot. Wejdźmy do chatki – dodał, wskazując ruchem głowy stojący za nim domek.

Dopiero teraz go zauważyłam. Migotliwy blask zorzy oświetlił małą chatkę. Była dziwnie wygięta, tak jakbym patrzyła na nią przez zniekształcającą soczewkę. Podtrzymujące budynek pale były poskręcane a słoma na dachu sterczała we wszystkie strony, przypominając wściekłego jeżozwierza.

– Dlaczego cały ten dom jest taki dziwny?

– Nawet w tej chwili nieprzerwanie próbuję przywrócić mu normalny wygląd.

Shun przeszedł przez owalne drzwi. Podążyłam za nim.

– Dziesięć minut... Myślę, że uda mi się utrzymać to wszystko pod kontrolą przez ten czas.

Rozrzucone po całej podłodze bręczki uniosły się w powietrze. Kiedy wszystkie kule zaczęły głośno buczeć odniosłam wrażenie, że wchodzę do gniazda szerszeni.

– Czemu ma to służyć? Są strasznie hałaśliwe.

– Nic na to nie poradzę. Musisz jakoś je znieść.

Shun przeszedł na drugą stronę obskurnego pokoju i usiadł na dużym, drewnianym stole. Na jego wykoślawionym blacie leżała sterta książek i arkuszy papieru.

– Usiądziesz? – zapytał, wskazując stojące przy przeciwległej ścianie krzesło. Pokiwałam głową i stanęłam na środku izby, rozglądając się dookoła. Wszystko wydawało się w jakiś sposób wypaczone i zdeformowane; dotyczyło to nawet sprzętów wykonanych z materiałów, które powinny być wytrzymałe, takich jak kamień czy drewno. Zdawało mi się, że albo moje zmysły zaczynają mnie oszukiwać, albo struktura rzeczywistości zaczyna się rozpadać.

– Od czego powinienem zacząć...? Wszystkie problemy mają początek w ludzkim umyśle.

Zmarszczyłam brew, zupełnie nie rozumiejąc, co ma na myśli.

– Świadoma część osobowości jest jedynie wierzchołkiem góry lodowej. Istniejąca w głębi umysłu podświadomość jest o wiele obszerniejsza. Dlatego właśnie nie potrafimy w pełni zrozumieć swoich uczuć i myśli.

– Nie przyszedłam tutaj na wykład z psychologii. Chcę wiedzieć, co się z tobą dzieje.

– Właśnie to wyjaśniam – odparł ściszym głosem.

– Czemu nosisz tę maskę? Zdejmij ją, ona mnie przeraża.

– Nie mogę – odpowiedział krótko. – Poza tym nie ma na to czasu... Posłuchaj. Nieważne, czego by nie próbowali, ludzie nigdy nie będą w pełni kontrolować swoich umysłów. Nawet kiedy ktoś jest przekonany, że ma pełnię władzy nad świadomym myśleniem, nie ma pojęcia, jakie procesy zachodzą w jego podświadomości. Nasz cantus jest tego najbardziej namacalnym przykładem.

– Co masz na myśli?

– W przypadku fizycznych działań istnieje wiele etapów pośrednich pomiędzy sformułowaniem pomysłu i wdrożeniem go w życie. Motyw działania powstaje w podświadomości i musi przejść przez świadomą część umysłu zanim będzie mógł zostać zrealizowany. Dlatego właśnie logiczne rozumowanie może zmienić przebieg planowanej akcji lub w ogóle nie dopuścić do jej wykonania. Jednakże, w przypadku naszego cantusu powstanie zamysłu i fizyczne wykonanie zamierzonego działania w mniejszym lub większym stopniu zbiegają się w czasie. Nawet kiedy idea jest zła, nie ma czasu na zatrzymanie lub naprawienie akcji.

– Ale czy nie musimy przestrzegać ściśle określonych reguł i wyobrażać sobie bardzo szczegółowych obrazów, żeby w ogóle móc korzystać z cantusu?

– Te wizje rzeczywiście tworzone są świadomie, lecz w mrokach podświadomości nadal czai się wiele innych rzeczy.

Wydawany przez bręczki dźwięk nieznacznie przybrał na sile.

– Nie rozumiem o czym mówisz. Nawet jeśli w głębi naszych umysłów istnieją obrazy o których nie wiemy, nie moglibyśmy przecież z nich skorzystać. Przecież jeśli nie wyrecytujemy swojej mantry, cantus w ogóle nie zadziała.

– Nie pojmujesz. Niezależnie od tego, jak usilnie starasz się kontrolować cantus przez mantry czy sugestię hipnotyczną, on zawsze znajduje ujście przez szczeliny w naszej podświadomości.

– Cantus... wycieka?

– Tak, bez przerwy. Mówiąc ściślej, nieustannie, podświadomie zmieniamy otaczający nas świat.

– To... – Zupełnie zaniemówiłam.

Pomyślałam, że to o czym mówi jest niedorzeczne, ale nie byłam w stanie się odezwać.

– Saki, jak myślisz, w jakim celu postawiono Świętą Bariere? Myślisz, że ma chronić nas przed zagrożeniami z zewnątrz?

– Nie wiem. Co masz na myśli? – Zupełnie już się pogubiłam.

– Świętą Bariere wzniesiono w celu ochrony przed niebezpieczeństwem znajdującym się wewnątrz niej, a nie po drugiej stronie. A jest nim nasz stale wyciekający cantus. Bestie i karmiczne demony, jedyne zagrożenia których się obawiamy, biorą początek we wnętrzu nas samych.

Głos Shuna był spokojny, lecz obracające się brzęczki zaczęły drzeć.

– Oczywiście wyciekająca moc jest słaba i nie ma mowy o tym, by mogła dokonać dużych zniszczeń przez jedną noc. Nie da się jednak określić skutków stałego narażenia na te podświadome wizje. Dlatego też musimy odpowiednio ukierunkowywać wyciek cantusu.

– Ale jak?

– Od dzieciństwa wpajano nam strach przed światem zewnętrznym. Mroczny wszechświat, którym jest nasza podświadomość, zlewa się w jedno z wizją bezkresnego, ciemnego świata. W naszych umysłach podświadomość zostaje bezpośrednio powiązana ze światem zewnętrznym, a wyciekająca z niej moc jest

kierowana poza Świętą Barierę. Bariera jest psychologiczną sztuczką, która pomaga nas „oczyszczać”.

Nie rozumiałam prawie niczego z jego skomplikowanych słów.

– Co więc się dzieje z wyciekaniem cantusu, który odsyłamy na zewnątrz?

– Prawdopodobnie wywiera wpływ na wiele różnych rzeczy. Nikt tego nie badał, więc nie mam pewności.

Shun rozłożył ramiona i rój brzęczących kulek zaczął krążyć po pomieszczeniu.

– Wydaje mi się jednak, że to rozjaśnia parę spraw. Weźmy na przykład minoshiro. Tysiąc lat temu one jeszcze nie istniały a dla ewolucji tysiąc lat jest jak jeden dzień. Przodkiem minoshiro prawdopodobnie był ślimak morski. W jaki sposób jednak doszło do tak gwałtownych i daleko posuniętych zmian?

– Nasz cantus stworzył minoshiro?

– I nie tylko je. Prawdopodobnie kraby tygrysie i sianokułki powstały w taki sam sposób. Przeanalizowałem wszystkie nowe gatunki, odkryte w przeciągu ostatniego milenium. Ta dziwna, przyspieszona ewolucja zaczyna się i kończy wokół Świętej Bariery.

To, co mówił było tak dziwne, że od razu zaprotestowałam.

– Ale przecież wyciekający cantus nie jest niczym więcej jak zbitkiem przypadkowych myśli, prawda? Jak to możliwe, że potrafi stworzyć ściśle zaplanowane stworzenie, takie jak minoshiro.

– W zbiorowej podświadomości istnieją pewne matryce. Żyjący dawno temu psycholog, Jung, nazwał je archetypami. Cień, Wielka Matka, Stary Mędrzec, Przechera i inne. Podobne postacie występują w legendach na całym świecie, ponieważ są manifestacjami archetypów. Badania nad określeniem archetypu, który dał początek sianokułkom czy minoshiro z pewnością byłyby bardzo interesujące.

Przeanalizowałam raz jeszcze wszystko, co usłyszałam lecz nadal nie byłam pewna czy dobrze to rozumiałam.



– Nie wiem czy to co powiedziałeś to prawda, czy nie, ale szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie to. Chcę jedynie dowiedzieć się, co się z tobą dzieje.

Shun milczał.

– Ty...

Nagle dostrzegłam w kącie izby coś drepczącego w naszą stronę. Krzyknęłam.

– Nie bój się. To tylko Subaru.

Shun podszedł do Subaru i podrapał go w szyję.

– Co mu się stało?

– Nic. Ja... naprawdę, nigdy nie miałem zamiaru robić niczego takiego.

Brzęczki zaczęły chaotycznie fruwać po pokoju, ale uspokoiły się gdy Shun na nie spojrzał.

– Rozumiesz mnie, prawda? To wszystko jest rezultatem tego, co się ze mną dzieje.

Grzbiet Subaru był pokryty twardą, kolczastą skorupą, niczym u jakiegoś monstrualnego pancernika.

– Mój cantus nie chce przestać wyciekać. Jego moc stale rośnie a ja coraz bardziej tracę nad nim kontrolę. Moja podświadomość szaleje, powodując ekstremalnie silny wyciek mocy, która niszczy wszystko wokół mnie. Właśnie tak objawia się zespół Hashimoto-Appelbauma. Zmieniam się w karmicznego demona.

– T-to nie może być... Kłamiesz! – wrzasnęłam.

– Niestety, takie są fakty.

Shun ostrożnie wziął Subaru na ręce, uważając, żeby nie dotknąć kolców sterczących mu z pleców.

– Wszystkie książki, które tu mam należą do klasy czwartej. Zawierają wiedzę, która powinna na wieczność popaść w zapomnienie. Zazwyczaj są przechowywane w sekretnym magazynie w podziemiach biblioteki. Twoja matka zrobiła wszystko co w jej mocy, żeby mi je pożyczyć.

– Moja matka?

– Tylko z treści tych ksiąg można dowiedzieć się na czym polega przemiana w karmicznego demona. To wszystko, co wiemy na ten temat.

Wszystkie z zakurzonych woluminów miały na okładkach wybitą pieczęć oznaczającą przynależność do klasy czwartej. Dzielila się ona na trzy podkategorie – do pierwszej z nich należały księgi „przeklęte”, tomy drugiej nazywano „potwornymi”, natomiast trzeciej, najbardziej niebezpiecznej – „katastrofalnymi”, co miało oznaczać „apokalipsę, nieprawość, coś gorszego od śmierci”.

– W zamian za dostęp do książek mam spisywać swoje obserwacje. Jakby nie patrzeć, jestem najświeższym przypadkiem choroby.

– Nie mów tak! A co z terapią? Nie ma żadnego sposobu, żeby cię wyleczyć?

– Obecnie nie jest znana żadna metoda.

Shun postawił Subaru na podłodze. Mały psiak poczłapał w moim kierunku.

– Kiedyś uważano, że zespół Hashimoto-Appelbauma ma związek ze schizofrenią, jednak udowodniono, że ta teoria jest błędna. Ze wszystkich innych chorób najbliższy jest mu zespół lęku napadowego – powiedział obojętnie, zupełnie jakbyśmy rozmawiali o codziennych sprawach. – Gdyby rzeczywistość była stała i niezmienna, dałoby się wyleczyć wszystkie urojenia i irracjonalne lęki. Ponieważ jednak obawy i niepokój zaburzają nasze postrzeganie świata, nie da się tego zrobić. Błędna informacja zwrotna wytworzona przez rozbieżność pomiędzy omamami i rzeczywistością rozpoczyna cykl zniszczeń. Co gorsza, wszystkie te zjawiska mają miejsce na poziomie naszej podświadomości, co sprawia, że nie da się ich powstrzymać.

– Nie możemy po prostu zapieczętować twojego cantusu?

– Zapieczętowanie może uniemożliwić jedynie świadome korzystanie z mocy. Nie ma żadnego wpływu na podświadomą część umysłu. Mimo tego pomyślałem jednak, że nałożenie takiego

ograniczenia będzie w stanie choć trochę zmniejszyć wyciek, więc udałem się w tym celu do Naczelnego Mnicha Mushina. Niestety, nie przyniosło to żadnego skutku. Mój cantus jest jak para uciekająca przez nieszczęlną pokrywkę; nic nie może go zatrzymać.

Byłam przerażona.

– Cz-czy to możliwe, że... Że nie da się zapieczętować twojego cantusu, bo przywróciłam ci go w niewłaściwy sposób?

W przeciwieństwie do Satoru, Shun cały czas był świadomy tego, że pozostaje pod wpływem hipnozy. Do tego znał już treść swojej mantry. Siłowe odpieczętowanie mocy przeprowadzone w takich warunkach mogło na stałe zniszczyć hipnotyczny ogranicznik zakotwiczony w jego umyśle.

– Nie. Trzeba zacząć od tego, że nie powinienem był w ogóle spodziewać się, że próba zapieczętowania przyniesie jakąkolwiek korzyść. To nie twoja wina, Saki.

Z oczu popłynęły mi łzy. Pochyliłam się i pogłaskałam Subaru; nie potrafiłam zdobyć się na nic więcej.

– Czas już się kończy. Powinnaś już wracać do domu.

Pokręciłam głową, nie przestając płakać.

– Jestem w stanie przez krótki czas kontrolować wyciek, skupiając się na określonym zadaniu, na wykonanie którego mogę przekierować cantus. Przez ten okres wszystkie uboczne efekty wpływu mocy są tłumione. W tej chwili koncentruję się na sterowaniu siedmioma tysiącami brzęczków, więc nie dzieje się ci krzywda. Mogę robić to jednak przez dziesięć, najwyżej piętnaście minut. Po tym czasie moja koncentracja zacznie słabnąć i podświadomość w każdej chwili będzie mogła przejąć nade mną całkowitą kontrolę.

– Nie! Nie odejdę! Chcę zostać z tobą.

– Saki, mój stan doprowadził już do śmierci moich rodziców.

Jego słowa wbiły mi się prosto w serce.

– Z całych sił starali się mi pomóc, lecz nie dało się już niczego zrobić. Próbowałem z całych sił kontrolować swój cantus

wykorzystując czystą siłę woli, lecz nie mogłem chyba wybrać gorszej metody. Ostatecznie nie zdołałem powstrzymać wycieku, który zadziałał ze zdwojoną mocą.

– Shun...

– Zaczęło mi się wydawać, że cały dom trzeszczy. Nagle ziemia się rozsunęła, pochłaniając go w całości. Uszedłem z życiem prawdopodobnie tylko dzięki temu, że rodzice użyli własnej mocy, żeby w ostatniej chwili ewakuować mnie z domu. – Usłyszałam szloch dobiegający spod maski Shuna. – Dlatego proszę, pośpiesz się i uciekaj. Proszę. Nie chcę patrzeć, jak umiera kolejna osoba, którą kocham.

Powoli się podniosłam. Rozpacz i bezsilność była przytłaczająca.

Nie mogłam ocalić Shuna.

Nie mogłam niczego zrobić.

Nie mogłam...

W drzwiach jeszcze raz odwróciłam się w jego stronę.

– Shun, czy jest coś, co chcesz, abym zrobiła?

Pokręcił przecząco głową.

Nagle prześliznęło się obok mnie ogromne zwierzę, wpadając do wnętrza chatki. To był przeklęty kot. Miał szare futro w tygrysie paski i był dwukrotnie większy od tego, którego wcześniej spotkałam. Zignorował mnie i ruszył na Shuna, głośno warcząc.

Kot powoli się przybliżył. Jego ostry wzrok był przerażający, ale wydobywający się z gardła stwora mruk nie wydawał się wrogi. Te sprzeczne sygnały z pewnością zbiłyby z tropu każdego, kto napotkałby zwierzę na swej drodze a stwór wykorzystałby chwilę zawahania ofiary. Tak właśnie polowały przeklęte koty.

Znając już taktykę potwora, zareagowałam błyskawicznie, recytując szeptem mantrę.

– Saki, nie! – Usłyszałam niosący się echem głos Shuna. Już wystarczy...

Jego słowa mnie zszokowały. Co miałam robić? Nie mogłam po prostu stać i przyglądać się jak umiera. Ale....

Trzypółmetrowy kocur wyciągnął się, jakby chciał pocałować Shuna i szeroko rozdziawił paszczę. Miałam już użyć cantusu, lecz właśnie w tamtej chwili Subaru zawył przeraźliwie i skoczył na stwora.

Przeklęty kot łypnął na Subaru i zamachnął się na niego prawą łapą. Jego ostre jak brzytwa pazury wbiły się w ciało psa, powodując, że rozprysła się krew. Dzięki twardej skorupie, pokrywającej grzbiet buldoga rana nie okazała się jednak śmiertelna. Subaru nie zatrzymał się nawet na sekundę i rzucił się kotu do gardła. Mimo zwinnego uniku stwora, Subaru zdołał zatopić kły w łapie, która była chyba ponad dziesięć razy większa od niego.

Do tej pory nie rozumiem, co się wtedy stało. Selektywny rozród prowadzony przez wiele pokoleń powinien był sprawić, że buldogi utracą swoje brutalne instynkty. Subaru, którego tak dobrze znałam zawsze trzymał się z dala od innych psów; jedynie czasami zdarzyło mu się na któregoś zaszczekać lub wyszczerzyć zęby. Można było właściwie stwierdzić, że jest bardzo powściągliwy.

Co więc wstąpiło w niego w tamtej chwili? Co spowodowało, że nagle obudziła w nim się żądna krwi natura, z której słynęli jego dalecy przodkowie?

Kiedy zaciekle atakował zwierzę, które według wszelkiego prawdopodobieństwa powinno bez trudu go zabić, przypominałam sobie legendy, które opisywały buldogi jako najsilniejszą rasę bojowych psów, zdolnych do walki ze stworzeniami wielokrotnie większymi od nich samych.

Subaru zacisnął mocno swoje szczęki i zaczął szarpać zajadle głową. Dzięki zadartemu nosowi mógł oddychać niezależnie od tego, jak głęboko zatopił zęby w ciele wroga.

Przeklęty kot zaryczał z bólu. Jednakże, jako że był kreaturą stworzoną w celu polowania na ludzi, odznaczał się większą przebiegłością niż normalne zwierzęta. Zręcznie przewrócił Subaru na

plecy przednią łapą i przytrzymał go przyciśniętego do ziemi w tej pozycji.

– Przestań! – krzyknęłam.

Ostre jak nóż pazury zamachnęły się w stronę miękkiego brzucha Subaru.

Wszystko, co wydarzyło się w następnej chwili wydawało się całkowicie oderwane od rzeczywistości.

Kot wyleciał w powietrze z łapami rozłożonymi jak u olbrzymiej polatuchy i uderzył o sufit. Każdy z jego osiemnastu pazurów był wysunięty. Obnażył kły, sycząc gniewnie, lecz całe jego ciało było zeszywniałe jakby został sparaliżowany.

Tysiące błyszczących kryształów zmaterializowało się znikąd. Otoczyły one kota, całkowicie go zasłaniając, po czym stopiły się w jeden, półprzezroczysty, lśniący klejnot.

Przeklęty kot wyparował. Powietrze wypełniło pozostałą po stworze próżnię, tworząc niewielki wir.

Co, na niebiosa, zrobił właśnie Shun? Jedyne co przychodziło mi do głowy, to myśl, że wysłał potwora do innego wymiaru.

Poruszenie czegoś bez dotykania tej rzeczy prawdopodobnie oznaczało, że naruszył prawa fizyki. W normalnych warunkach nie potrafiliśmy jednak uzewnętrznić mocy w sposób, którego obrazu nie dało się stworzyć w umyśle.<sup>1</sup>

Przez ten krótki czas, który upłynął od otwarcia się wrót do podświadomości Shuna i przemiany chłopca w karmicznego demona, nabył on umiejętności, o których nawet nie śniło się największym mistrzom cantusu.

Uświadomiłam sobie, że Shun klęczy przed ciałem Subaru.

– Biedactwo...

---

<sup>1</sup> Wyjaśnienie od autora przekładu z oryginału na angielski: Saki ma na myśli, że kiedy ludzie używają cantusu do przemieszczania obiektów, muszą wyobrazić sobie obraz, na przykład rąk, które "dotykają" tej rzeczy. Przykładem jest scena, podczas której Satoru wyobraża sobie ogromną pięść tłumiącą eksplozję bombopsa lub Saki, wyobrażającą sobie dłonie skręcające kark przekłętemu kotu. Dlatego właśnie przypadek Shuna, przemieszczającego coś bez uprzedniego stworzenia obrazu dłoni jest niezwykle, bo oznacza wyobrażenie sobie czegoś, czego nie obowiązują prawa fizyki.

Pies już nie oddychał. Cała podłoga była umazana krwią. Kot rozplątał brzuch Subaru aż po samo serce jednym cięciem pazura.

– Shun – przykucnęłam obok niego.

– Próbował mnie ocalić, nieważne jak daremny był jego wysiłek – powiedział cicho Shun. – Wiele razy kazałem mu zostać ale wciąż za mną szedł... Być może nie byłem zbyt towarzyski, ale bez Subaru zostanę całkiem sam. – Pogładził pysk Subaru. – Powiniennem szybciej podjąć decyzję. Gdybym tak się nie wahał, Subaru nie musiałby cierpieć.

– To nie była twoja wina – odparłam zdecydowanie.

– I nie była to też wina tego kota. Przyszedł tu tylko dlatego, że po prostu rozkazano mu zakończyć mój żywot... Zbyt długo nie potrafiłem zdecydować, co powiniennem uczynić. – Wskazał na stojący przy ścianie kredens. – Jest w nim butelka wypełniona pastylkami, zawierającymi najprzeróżniejsze trucizny. Dostałem ją zanim tutaj przyszedłem. To dość okrutny prezent pożegnalny, nie uważasz?

A więc to w taki sposób dorośli chcieli poradzić sobie z tą sytuacją? Zmusili Shuna by sam odebrał sobie życie. Właściwie to nawet mnie to nie zdziwiło. Może taka nieczułość wynikała z narażenia na ogromny szok w krótkim czasie.

– Cieszę się, że żadnej nie połknąłeś. Powinieneś wyrzucić całą tą butelę.

– Zjadłem je wszystkie.

– Co?

– Ale nie zadziałały. Było już za późno. Zgaduję, że łatwo jest zmienić strukturę trucizny na poziomie molekularnym. Mimo tego byłem zdziwiony, że nawet arsenik nie jest w stanie mnie zabić. Wygląda na to, że Cień, część mojej podświadomości która za wszelką cenę nie chce dopuścić bym umarł, potrafi modyfikować nawet podstawowe pierwiastki.

Dotknęłam dłonią ręki Shuna.

– Myślę, że to nadchodzi... – powiedział do siebie.

– Co takiego?

– Saki, pospiesz się i uciekaj stąd! – Cofnął dłonie i wstał.

Cały dom głośno zadudnił. Brzęczki wzleciały wysoko w powietrze, bucząc zawzięcie, po czym huknęły o podłogę.

– Jest tak samo jak wtedy. Jak wtedy, kiedy mój dom został pochłonięty przez ziemię... Czy to nie zabawne? To prawie jak Błogosławieństwo, tyle, że nie przynosi ci żadnego daru, a jedynie śmierć... Szybko! – krzyknął, popychając mnie w plecy.

Próbowałam stawić mu opór, ale był silniejszy.

– Mam już tego dość. Zakończę to wszystko tu i teraz.

Na moich oczach ściany zaczęły się trząść i wyginać. Pojawiły się na nich pękające jeden po drugim pęcherze, wyglądające jak bańki mydlane. To był zupełny chaos. Znowu zaczęła mnie boleć głowa.

– Saki – powiedział cicho Shun, wypychając mnie za drzwi. Jego maska zaczęła się roztapiać, mimo, że nie było gorąco. – Zawsze cię kochałem.

– Dlaczego teraz mi to mówisz? Shun! Ja...

– Żegnaj.

W następnej chwili znalazłam się setki metrów nad ziemią, patrząc z góry na skąpaną w księżycowym blasku chatkę Shuna. Tyle, że nie było już żadnej chatki. Na jej miejscu ział gigantyczny krater.

Ziemia wokół ogromnej dziury zaczęła się zapadać. Powietrze wypełniło się echem donośnego łomotu i suchych dźwięków pękających pni drzew wyrywanych z korzeniami. Ta apokaliptyczna scena zdawała się coraz odleglejsza. Uświadomiłam sobie, że lecę do tyłu po olbrzymim łuku. Silny wiatr szarpał moim ubraniem we wszystkie strony. Podmuch zerwał mi z głowy spinkę; włosy powiewały za mną swobodnie na nocnym niebie.

*Gdybym po prostu z czymś się zderzyła i umarła, nie byłaby to taka zła śmierć.*

Z taką myślą w głowie zamknęłam oczy.

Po chwili ponownie je otworzyłam.

Shun ocalił mnie swoim ostatnim wysiłkiem.

Musiałam żyć.



Odwróciłam się pod wiatr. Podmuch był bolesny, lecz nie zamknęłam oczu. Moje łzy zostały wywiane daleko do tyłu. Spojrzałam w dół i zobaczyłam coś, co wyglądało na szeroką, trawiastą równinę. Zastanawiałam się, czy gdy Shun wystrzelił mnie w przestworza, dokładnie wiedział, gdzie wyląduję.

Ziemia zaczęła pomału się przybliżać.

Pomału. Zupełnie jak we śnie.